AMELIA SAWA

ur. 1925; Siedliszcze

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Równe, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin ; Arciszowa, Wacława (1870-1953) ; Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych dr Ireny Krzeczkowskiej ; Holokaust ; Lwów ; Kijów ; Równe ; Chojno ; Włodzimierz ; Chełm ; Mogielnica ; Pustelinik ; Szepetówka ; Winnica Oblast ; Częstoborowice ; Krzczonów ; partyzanci ; walki partyzanckie na Lubelszczyźnie ; oddział partyzancki Nerwy ; oddział partyzancki Spartanina ; II wojna światowa ; trudy wojenne ; ukrywanie się na wsi ; kołchoz ; rodzina i dom rodzinny ; dzieciństwo ; szkoła ; szkolnictwo ; edukacja ; koleżanki ze szkoły ; PRL ; wybuch II wojny swiatowej ; dwudziestolecie międzywojenne ; Generalne Gubernatorstwo ; Stare Miasto ; ulica Leśna ; ulica Leśna 13 ; ulica 1 Maja ; ulica Zielona ; ulica Kapucyńska ; ulica Zamojska ; ulica Kamienna ; ulica Żelazna ; ulica Spokojna 4 ; wieś Dziesiąta ; okupacja niemiecka ; siedziba władz dystryktu Generalnego Gubernatorstwa ; bombardowanie Lublina ; gestapo ; Żydzi ; Holocaust ; pomoc dla Żydów w okresie okupacji niemieckiej ; Ukraińcy ; Bieżeńcy ; święta Bożego Narodzenia ; święta w czasie wojny ; wspomnienia o ojcu ; żołnierze niemieccy ; Zamek Lubelski ; egzukcje żołnierzy na Zamku Lubelskim ; więzienie Pod Zegarem ; więzienie ; pobyt ojca w więzieniu na Zamku Lubelskim ; cukrownia w Równem ; NKWD ; Armia Czerwona ; żołnierze radzieccy ; praca w dystrykcie ; pan Jasinowski ; Gimnazjum im. Osiedleńców w Równem ; szkoła handlowa ; Gimnazjum Filologiczne Żeńskie Wacławy Arciszowej ; Gimnazjum Humanistyczne Żeńskie Michaliny Sobolewskiej ; pani Tomyszczuk ; Arnsztajnowa, Franciszka (1865-1942) ; Beck, Józef (1894-1944) ; Krzysiak, Józef (1899-1992) ; Krzysiak, Zenon (1929-1986) ; Krzysiak, Helena (1905-1997) ; Stalin, Józef (1878-1953)

1. Poznanie ministra Becka

Ja byłam wtedy w pierwszej klasie gimnazjalnej, no i taki był właśnie moment, już zbliżała się wiosna, to był czerwiec. I właśnie zdecydowałyśmy, że wybierzemy się do lasu odpocząć po szkolnych perypetiach. I właśnie moja mama i koleżanki mama, i jedna ta właśnie koleżanka. Było ich trzy. A jedna pochodziła z Nałęczowa, Marysia Szejbalówna, która była bez mamy, bo mama była w innym mieście, w Bychawie. No więc przygotowałyśmy się na tą trasę do starego lasu. To kawałek drogi kiedyś, teraz to jeżdżą samochodami, męczą się, a myśmy pieszo z łatwością doszły. Ten las był

wtedy jeszcze taki urokliwy, świeży, no i wiosna, prawda, to i zapach. No, było wspaniale. Rozłożyłyśmy swoje rzeczy na kocyku. No i siedziałyśmy, rozmawiałyśmy. W końcu, no, nie mogłyśmy długo usiedzieć, dziewczyny młode, no coś chciałyśmy jeszcze zobaczyć dalej. I wybiegłyśmy sobie tak taką alejką i byłyśmy zaskoczone, że stoi duży dom. Okazało się, że ten dom był pana leśniczego. Ja tam pierwszy raz byłam, więc było wszystko dla mnie zaskoczeniem. No, bardzo nam się tam podobało, bo były huśtawki, więc dla nas zabawa była wspaniała. I tak się huśtałyśmy na tych huśtawkach, siedziałyśmy, rozmawiałyśmy. I nagle, patrzymy, wjeżdża na to podwórko pana leśniczego niesamowicie wytworny samochód sportowy, czego nie widziałyśmy wcześniej, bo my nie brałyśmy udziału w żadnych takich wyczynach sportowych. A to był pan, który przyjechał do tego lasu, bo nam opowiadał, że z przyjemnością wielką tu jedzie, bo jest zauroczony tym lasem. No więc wysiadł pan, ubrany jak na polowanie, tak. Jeszcze wysiadł drugi pan, który mu usługiwał. Nosił te wszystkie urządzenia. No więc myśmy zaskoczone były, oglądałyśmy to z wielką przyjemnością i ciekawością, bo takie urządzenia dla nas były jeszcze nieznane. No więc byłyśmy, to znaczy ja to byłam raczej spokojna, ale koleżanki były bardzo hałaśliwe. I tam się ciągle dopytywały o coś, dyskutowały. No i w końcu namówiły tego pana, żeby poszedł z nami na huśtawki. No, jemu to się jakoś podobało, zaryzykował. Bo pewnie zawsze było na sztywno, a teraz na luzie. I siadł na tą huśtawkę, moje koleżanki go tak rozhuśtały, że aż mi się słabo robiło. I w pewnym momencie patrzę, wychodzi pan leśniczy i chwyta się za głowę. No to ja nie byłam tak zaangażowana w tym huśtaniu, więc podeszłam do niego. Domyśliłam się, że o coś tam chodzi. A on mówi: „Dziewczynki, co wy wyprawiacie, przecież to minister Beck”. A skąd myśmy miały wiedzieć, nie byłyśmy na żadnych spotkaniach z nim. No więc ja nie mogłam im powiedzieć, bo on tam siedział. No ale potem uspokoiły się już z tymi huśtawkami, siadłyśmy na ławce i rozmawiał z nami długo. Pytał się o nasze imiona, o nasze nazwiska, co robimy. No więc opowiadałyśmy informacje o naszym życiu jako uczennic klasy pierwszej pani Arciszowej. On był nawet bardzo zainteresowany, wszystkie pytał, powtarzał sobie te imiona, jakby chciał je zapamiętać. W końcu mnie pyta, jak ja się nazywam. Ja mówię, że się nazywam Amelia. „Yy! Coś takiego! To moja kuzynka właśnie dziesiątego lipca będzie obchodziła imieniny i właśnie robimy tu spotkanie rodzinne w leśniczówce”. Co było dla nas znowu czymś nowym. No więc ta kuzynka też Amelia. A dziesiątego lipca ja też obchodziłam imieniny. I on mówi tak: „Słuchajcie, panienki…”. Bo to wtedy się nie mówiło „dziewczynki” albo „weź, zrób”, tylko „panienki pozwolą”, „panienki”, „prosimy panienki na tą czy na inną sytuację”. Taki konwenans już był wtedy. To znaczy był jeszcze, bo potem on zaginął. No więc panienki wygadały się, opowiedziały wszystko. A on mówi tak: „Ponieważ my organizujemy spotkanie rodzinne tutaj, bo ja tutaj ciągle przyjeżdżam na polowania, bo to mój ulubiony kącik, wobec tego zapraszam panienki na to spotkanie”. No myśmy były zaskoczone. Tym bardziej, że, no, ja wiedziałam już, kim on jest. A nie zdołałam im jeszcze powiedzieć, one się dalej czuły

dobrze, swobodnie. No więc długo tam pobyłyśmy. On się potem szykował na to polowanie. Był cały na zielono ubrany. Ale takie wykwintne było to jego ubranie. No dla nas to było coś ciekawego i pierwszy raz miałyśmy do czynienia z czymś takim. I no i w końcu, jak tam się skończyło to poznanie się wzajemne, wróciłyśmy do swoich mam. Uradowane, szczęśliwe, no przeżycia niesamowite. A moja mama była zawsze bardzo taka powściągliwa we wszystkich sprawach. A ponieważ przed wojną mówiło się bardzo często o handlarzach żywym towarem, to moja mama stwierdziła: „O, to na pewno jest ten handlarz żywym towarem". Absolutnie nie chciała usłyszeć o dalszych wyjaśnieniach i oświadczyła: „Nie ma mowy, żebyście poszły, żebyś ty poszła, przyjechała na dziesiątego". No ja się zmartwiłam, bo taka gratka była wspaniała, a tu nagle zakaz. Wróciłyśmy do domów wszystkie, ciągle myślałyśmy co, kiedy, jak my to załatwimy. Ale moja mama powiedziała definitywnie: „Ty nie pojedziesz". No i któregoś dnia mama ugotowała taką tak zwaną zupę „nic". A to jest taka zupa o smaku lodów, z jajkami. To było podawane w takiej chłodnej temperaturze. No to był już przysmak niesamowity. Cymes. Więc ja oczywiście nie mogłam się poskromić i zjadłam większą ilość. No i potem miałam taką atrakcję, że bardzo ciężko zachorowałam. Zatrułam się. Bo przeżyłam to bardzo ostro. No i byłam nie do oglądania. Miałam całą buzię spryszczoną. Taka wysoka temperatura była. Och, jak bolałam strasznie, że ucieka mi taka okazja. I nie byłyśmy, no one też, jak już mnie nie było, no to w ogóle nie byłyśmy. A ja mieszkałam na ulicy Leśnej przed wojną. Leśna trzynaście. Feralna liczba, jak się okazało, bo wojna wybuchła tam. I właśnie idę kiedyś tą uliczką Leśną, a tu zatrzymuje mnie jakiś pan i mówi: „No, moje kochane, ale to byłyście bardzo nie fair". Ja patrzę, a to ten pan leśniczy. Mieszkał na [ulicy] Leśnej. Nie wiem, jak się nazywał. I proszę sobie wyobrazić, ja mówię: „Nie mogłam, bo rozchorowałam się bardzo". Wytłumaczyłam się. No ale mówił, że pan minister był zaskoczony i bardzo niezadowolony. No bo chcieli sobie taką sielaneczkę zrobić inną niż na tych komfortach, chcieli spotkać się z ludźmi innego, skromniejszego świata.

2. Przygotowania do wojny

Sierpień się zbliżał coraz bardziej nerwowo, niepokojąco. Ludzie zaczynali robić zapasy, bo taka była informacja, że należałoby zrobić jakieś zapasy. Sierpień był bardzo upalnym miesiącem, wyjątkowo wtedy. Nie wiem, do czego nas tak rozgrzewało. I właśnie mama myślała o tych zapasach. No nie wiadomo co kupić, to wtedy lodówek nie było, żadnych zamrażarek, to tak nie bardzo można było coś kupić. Tylko jedzenie. No mąkę, jakiś chleb suszony i tak dalej. No bo wiadomo było, że coś złego nastąpi. I właściwie to nastąpiło bardzo szybko, bo już pierwszego września. Już o piątej piętnaście, czy czwartej piętnaście, już zapomniałam... Czwarta czterdzieści pięć, tak! No to było dla nas zaskoczenie i przerażenie. Bo nie tylko, że sama ta myśl była niesamowita do zniesienia i do przeżycia, ale te sytuacje, jakie się wydarzały, to zaciemnianie okien, zakrywanie. To było takie przygotowanie

do tego, co miało nadejść, to było zresztą przestrzegane bardzo, bo wszyscy musieli to robić. No i właśnie ten niepokój, to była niesamowita katorga duszy. Byliśmy zmęczeni, przerażeni.

3. Początek II wojny światowej

Już pierwszego dnia samoloty niemieckie zjawiły się nad Lublinem, a to one zupełnie inaczej szumiały i grzmiały niż te, które u nas latały. I one były w kolorze srebrnym. I tak nas to wszystko przerażało, bo nawet inne samoloty. A okazało się potem, dowiedzieliśmy się, że te samoloty były zabrane Czechom, bo oni najpierw weszli do Czechosłowacji. Zabrali im te samoloty czeskie, a one były srebrne właśnie. A niemieckie są szare, czarne. Też przerażające. I to światło słoneczne, i to błękitne niebo, i te „ptaki" groźne srebrne. To było straszne. No i trzeba było się gdzieś schować. No, gdzież się schować? Do piwnicy nam kazano wchodzić. Te piwnice dawnych tych domów to były ponure bardzo takie, no i niepokojące, takie właśnie prymitywne. Bo teraz to jakoś zrobili te piwnice lepsze, znacznie lepsze, że można wejść bez jakichś obaw. A tam ciemno było, zimno, ponuro, wszystko zaniedbane. Nie chciało się tam wchodzić przecież. No ale krzyczą: „Alarm!". Nie było dyskusji, trzeba było wejść. A ja strasznie nie lubiłam tam wchodzić. Mój ojciec nigdy nie wchodził, to zawsze stał na podwórku. Bo ojciec był pięć lat w wojsku, no to musiał być dzielny i musiał najpierw zaobserwować, gdzie one są, te samoloty. Jak się zbliżały, to on tak na trzeźwo bardzo wtedy działał, byłam pełna podziwu. I wszystkich alarmował: „Uspokójcie się, już przejechały". A one ciągle wracały, kręciły. To było straszne. No, przeżyliśmy tą grozę tego dnia niesamowicie wszyscy. Trudno coś mówić o tym. Ale wszyscy dorośli i dzieci bardzo przeżyły. No i... ten strach był straszny… ja muszę jeszcze raz powtórzyć, bo naprawdę trudno jakoś to opisać, ten strach. Ale byliśmy wszyscy bardzo, bardzo przerażeni, bo to było o świcie już.

4. Praca w dystrykcie

Miałam maturę ze szkoły handlowej. I dowiedziałyśmy się, że teraz dziewczyny jadą do Niemiec po tej szkole. I moja mama miała znajomego pana, który był weterynarzem. Bardzo miły pan i taki zaprzyjaźniony z naszą rodziną. I on powiedział, że jest taki zamach. Ale mówi tak: „Ja mam przyjaciela Niemca i ja jej załatwię pracę". I zatrudnili mnie w dystrykcie, to przecież województwo. Z tym, że Polakom nie wolno było pracować w tym głównym budynku, bo tam *nur für Deutsche* [niem. „tylko dla Niemców", przyp. red.]. Natomiast dla nas były takie dwie obok stojące dziś jeszcze wille i w tych willach pracowałyśmy my. Taka była grupa pań. I tam szefem był Niemiec, nazywał się Bernt. Do dzisiejszego dnia pamiętam, bo to był postrach. On nami tam kierował, to był taki typowy Germaniec, taki wrzaskliwy, wszystkie się go bały. Tam tylko jedna babka chyba taka, która… no, jakieś kontakty musiała mieć z nim. Żebyśmy jej tak właśnie unikały, no to mogła z nim rozmawiać. A tak to wszystko takie było w przestrachu. To był urząd, który zajmował się sprawami

nauczycieli. W dokumentach były nazwiska, miejscowości, wiek tego nauczyciela i dyrektora, gdzie było zawsze zaznaczone, że to dyrektor i jak tam, nie wiem, kto to robił, dał znaczek czerwony, to znaczy aresztować. No to myśmy załatwiały, że informowałyśmy, żeby uciekał, bo go aresztują. Takie były możliwości. Nie podejrzewał nawet nas o to, bo tam rygor był straszny, ale myśmy swoje robiły. Pewnego razu powiedziano mi, że ja muszę pójść pracować do tego dużego budynku. Bo jakaś Niemka słaba jest i ja jej mam pomagać, bo ona nie ma siły. Jezu, jak ja tam wejdę, dla mnie to było straszne. Jednak musiałam, bo rozkaz taki był i pracowałam też w tym samym dziale, *Wissenschaft und Unterricht* [niem. „Nauka i edukacja", przyp. red.] i tam był już szefem, nazywał się Jasinowski. Prawdopodobnie Jasinowski, Polak.

5. Przedwojenne nastroje

[19]39 rok już od początku był burzliwy. Już się ludzie niepokoili. Co też tam zapowiadają, bo były te pomruki jakieś tam, dyskusje na temat zbliżającej się wojny. To czuło się w powietrzu jakoś, ten nastrój. I takie było przygnębienie ogólne. Każdy myślał. No bo my znaliśmy tylko wojnę z opowiadań, z historii. Tamte wojny były inne niż ta ostatnia. Natomiast chyba nikt nie pomyślałby o tym, że tak może być, jak autentycznie było. W każdym razie to był koniec czerwca, pamiętam. No i mijały te dni i ciągle były te informacje w gazetach niesamowite. Mówiło się, dużo pisało się. No, żyliśmy wszyscy jak na wulkanie, podnieceni. I przerażeni, no bo cisza, spokój, żyło się, jak się żyło, oby dalej. Tu nagle coś nam grozi niesamowitego i tę ciszę naszą, tą normalność chcą zakłócić. I właśnie pamiętam, to był chyba koniec lipca, miałam taki dziwny sen, no niesamowity. I śniło mi się, że pojechałam do tej mojej cioci do Chojna, mojego ojca siostry. Wchodzę do domu, ona mówi: „Jak dobrze, że do mnie przyszłaś, to coś ci ciekawego pokażę". „Tak?" Ja mówię tak. Pamiętam to wszystko świetnie od tamtej pory. Bo to był szczególny sen. A ona mówi: „No to musisz pójść za nasz dom i zobaczysz wszystko". No więc ja w tym śnie, no to był sen taki autentyczny. Idę za ten dom, a za tym domem stoi ogromna, większa od tego domu armata skierowana na wschód, a na tej armacie siedzi Hitler i o tak pokazuje palcem. Jej! Przeraziłam się tym. I proszę sobie wyobrazić, że potem, już jak oni weszli, takie afisze były o nich. No to minęło ponad pół roku. I właśnie tak zapamiętałam ten sen. I oni taki sam zrobili afisz. To może gdzieś się w starych książkach, zeszytach, gdzieś to się może jeszcze uchowało. Ale bardzo to przeżyłam i nie wiedziałam, o co chodzi w końcu. A potem, gdy uciekliśmy z Lublina do tej cioci, przychodzimy, a ciocia do mnie mówi tak: „A ty idź tam za budynek stryjka Władka, to coś zobaczysz". Dosłownie tak jak w tym śnie. No więc ja zawsze ciekawa byłam wszystkiego, więc idę. I za tym domem nadziewam się na ogromną dziurę po bombie i na dole była woda. Taki lej. To znaczy ta bomba, jak wpadła, to zrobiła taki kołnierz z błota. Bo to są tereny podmokłe, tam się kopało torf. I ja tak się przyglądam i myślę: Boże, jaka musiała być wielka ta bomba. I w tym właśnie momencie takie ognie

zobaczyłam obok mnie. Myślę: coż to za ognie? Co to jest? Ale słyszę z daleka strzał. Domyśliłam się, że to strzały i momentalnie upadłam i czołgałam się po trawie. Potem tam rosły porzeczki i agrest. I ja musiałam się przez to przecisnąć i tak się, pamiętam, bardzo podrapałam tym agrestem. I cały czas, żeby mnie nie zobaczono. No bo bałam się, że zastrzelą mnie. Przyszłam do cioci i opowiadam jej tą straszną sprawę. Ojciec był przerażony. Wszyscy już przeżyliśmy ten fakt.

6. Ucieczka z Lublina

Przetrwałyśmy z mamą i z moim bratem tam w Lublinie do trzeciego września. To było już tam kilka nalotów. Już były bardzo takie groźne rozmowy na temat, co się stało i co się stać jeszcze może. No i ojciec miał wtedy rower. Na tym rowerze zabraliśmy pewne rzeczy, które są niezbędne na dziś, na już, bo za plecami się więcej nie zmieściło. I zaczęliśmy wędrówkę. Wędrówka była trudna, bo był bardzo upalny dzień, upalne dni były wtedy. Bo to już był wrzesień. Ja nie pamiętałam nigdy takiego gorącego września, jak ten był gorący. Pod różnymi względami. No i uciekaliśmy skrótami, nie przez te główne ulice, tylko bocznymi. Zmierzaliśmy w kierunku szosy chełmskiej. To znaczy Lublin – Chełm. Bo zmierzaliśmy do rodziny mojego ojca. Do tego Chojna właśnie. No bo trudno było wytrzymywać to wszystko i czekać na to, co dalej. Ojciec bardzo był przerażony. Chciał nas jakoś zabezpieczyć. I szliśmy przez wieś Dziesiątą, wtedy to była wieś, Dziesiąta. Minęliśmy tą Dziesiątą wieś i weszliśmy na pola. Była jesień, to takie uschnięte były już części ziemniaków. Już taka jesień późna się robiła, więc one już powinny być wykopywane. Zboża już nie było, tylko warzywa jeszcze rosły. I całe to pole było zarośnięte tymi warzywami. I właśnie tam w tym miejscu obecnie jest Majdanek. To było pierwsze nasze przejście. I nagle tam słyszymy alarm. I znowu jęczą, one tak jęczały te samoloty. To nie był warkot, to był jęk taki obrzydliwy. No więc co mieliśmy robić. Nagle ojciec mówi: „Kładziemy się na ziemię". Wszyscy położyliśmy się na tej ziemi, żeby nas nie było widać. I samolot jechał akurat nad szosą, a na szosie był tłum ludzi już uciekających, a samolot strzelał karabinem maszynowym. To strzelanie na tej szosie to było niesamowite, tam dużo ludzi zabito. A myśmy byli kawałek od szosy, no bo na tym Majdanku. I to było tak bliżej tego obecnego cmentarza. I słyszeliśmy strzały i bomby. A koło nas niedaleko pasły się krowy, było chyba pięć krów. I kawałeczek, no tak niedaleczko od nas te krowy się pasły. W końcu odwołanie alarmu, wstajemy i patrzymy, a krowy są zabite. I na drodze tam straszna tragedia była. No ale nie ma wyjścia, musieliśmy dojść do szosy i tą szosą szliśmy. Niektórzy pozostawali już poza Lublinem, bo mieli jakieś rodziny. I tych ludzi się coraz mniej robiło. A myśmy mieli daleką trasę, bo za Piaski, za Biskupice i dopiero do Chojna, to kawałek drogi było. No ale wędrówka taka była, jaka była. Nie było możliwości jazdy żadnej. Na jeden rower rodzina cała nie wsiądzie. A mieliśmy tam jakieś drobne zapasy, właściwie to pamiętam, że mieliśmy tylko chleb i pomidory. Bo na taki upał nie można było niczego robić ani szykować. Ale właśnie ta droga nasza z Lublina też była zakłócona

ciągle tymi samolotami. Nie słychać było już alarmów, ale ten jęk. Od razu wiedzieliśmy i widzieliśmy te „błyszczące ptaki”, mówiliśmy, już lecą. No i oczywiście musieliśmy się schronić gdzieś, nie stać na szosie. I właśnie dopadaliśmy zawsze do takiego większego gospodarza, gdzie był sad. I w tym sadzie schroniliśmy się zawsze. I razu pewnego stoimy tak pod tymi drzewami, schowaliśmy się. Nie było różnorodnych tych owoców, tylko przeważnie ludzie mieli sady wiśniowe. Teraz to jest inaczej troszkę. A wtedy wiśniowe były te sady. W niektórych tylko wyjątkowo były gruszki, jabłka, no też. Ale tam, gdzie się schowaliśmy, to był wiśniowy sad. I ja tak urwałam sobie listek z tej wiśni i patrzę z przerażeniem, na tym listku jest brązowa żmija taka narysowana. I to mnie bardzo zainteresowało. Myślę sobie, zaczęłam obrywać więcej i proszę sobie wyobrazić, ja jedna to dostrzegłam. Bo pytam wszystkich, którzy w tym czasie żyli. I wszystko przeżywali tak jak i ja, ale nikt tego nie zauważył. Tylko wiedzieli o tym moi rodzice i ja. I myśmy doszli do wniosku, że wszystkie na tych wiśniach liście miały żmije. Wyraźna żmija. Z takimi małymi jeszcze żądłami. Ja nawet nazbierałam tych liści trochę, żeby to ususzyć, ale już potem nie było możliwości, bo dalszy ciąg wojny był makabryczny. To już nie myślało się o tych liściach. I to też była jakaś dziwna zapowiedź. Co to miało znaczyć z tą żmiją. Ale ciekawe, że wszystkich pytałam, którzy byli mniej więcej w moim wieku i starszych. Nikt nie pamiętał tego i nie widział. Dlatego to mówię, bo to było takie wyjątkowe. No i tak szliśmy dość długo. Ta trasa trwała, długo się szło, no bo my byliśmy zmęczeni i było bardzo gorąco. Ale w końcu dotarliśmy do tej cioci, o której miałam sen z tą armatą.

7. Pierwsza warta niemiecka

Po kilku dniach w Chojnie mój ojciec mówi tak: „Wiesz, ja jestem bardzo ciekawy, co się dzieje w naszej rodzinie”. A mieliśmy jeszcze rodzinę w Dołhobyczowie. To była ze strony mojej babci rodzina. Oni się nazywali Dragan. I ojciec mówi: „Wiesz, ja muszę pójść, bo jestem ciekawy, co tam się z nimi dzieje”. No mój ojciec miał takie pomysły czasem szalone. I był za bardzo odważny. A ja zawsze musiałam być z ojcem, bo już taka byłam. No więc dobrze, idziemy razem. Szosa biegła kawałek dalej, więc mieliśmy taki spory kawałek do przejścia od tego domu do szosy. Doszliśmy do szosy i spotkaliśmy sąsiada jeszcze z czasów wcześniejszych, kiedy mieszkaliśmy w Mogielnicy. A on był Niemcem, kolonistą tak zwanym, kolonista niemiecki. On tam kupował ziemię i na terenach takich wolnych, nie na wiosce, tylko tam sam mieszkał. A ponieważ ojciec mu wiele rzeczy robił, a on jeszcze posiadał miód i dobre warzywa i owoce, to nasze kontakty były na zasadzie „coś za coś”. I spotkaliśmy tego Niemca. Idziemy z nim. Doszliśmy do krzyżówek tak zwanych: Lublin, Chełm, Trawniki, Włodawa. I na tych krzyżówkach patrzymy, a tam stoi ogromny, wielki, dwumetrowy Niemiec. Uzbrojony po zęby, mnóstwo miał różnych urządzeń na sobie. I to była pierwsza warta niemiecka. Nie wiadomo kiedy, skąd to się stało wszystko. To dosłownie było niesamowicie szybkie działanie. A byłam w tej

samej sukieneczce, co za domem ciotki, jak do mnie strzelali. I ten Niemiec, jak zobaczył, że ja żyję, wziął karabin i tą kolbą chciał mnie zabić. Widać to on strzelał do mnie wcześniej i poznał mnie teraz po tej sukience. A ten Niemiec, nasz sąsiad, ponieważ umiał po niemiecku, mówi: „*Nein, das mein Kameradin*" [niem. „Nie, to jest moja przyjaciółka", przyp. red.]. I on obronił mnie, a ten Niemiec uspokoił się. Ale co mój ojciec i co ja przeżyłam. Sam widok jego był przerażający, straszny. I myśmy nic nie wiedzieli, tak nadzialiśmy się na taką sytuację. W mgnienia oka to wszystko się działo. Ale jakoś doszliśmy do tego Dołhobyczowa. No i ojciec zmierza do tego budynku, gdzie mieszka rodzina. Patrzymy, a na tej wsi widzimy tylko Niemców. Czarno od Niemców. Nie wiem, dlaczego oni byli na czarno wszyscy. To jakiś inny strój, jakaś inna grupa, nie w tych niebiesko-zielonych mundurach. I wchodzimy do tego domu, tej cioci, a tam jest jakaś komenda. I wtedy nie wiedzieliśmy nawet, co się z nimi stało. A Niemcy po prostu wszystkich wyrzucili, każdy poszedł gdzieś tam, gdzie się dało. A Niemcy to wszystko zajęli i tam prowadzili swoją pracę. To była taka komenda główna, tych pierwszych wart. To była pierwsza warta. Oni byli jako pierwsi, więc wszystko rozpracowywali, co dalej. No to nasze było wielkie przerażenie, wróciliśmy z powrotem. No i widzimy, że tu już nie możemy być, bo Niemcy.

8. Dalej od szosy, czyli przez chwilę w Mogielnicy

Moja mama sobie przypomniała, że w Mogielnicy ma przyjaciółkę, która się nazywa pani Tymoszczuk, i mama mówi: „To idziemy do nich. To będzie jeszcze dalej, bo dalej od szosy". Bo Mogielnica jest znacznie oddalona od tej szosy, a ona na końcu Mogielnicy mieszkała. I tam byliśmy kilka dni, a może ze dwa tygodnie u niej. Ale już nie można było też i tam wytrzymać. Nawet ona musiała się przygotować do ucieczki, dlatego że na tej szosie chełmskiej, takie były tam wzgórza, stały już armaty niemieckie. A ponieważ to było tak, że Mogielnica była na równi tu, tu była szosa, a tutaj był taki teren, że te pola były ku górze się tak unosiły. I my chcieliśmy uciec spod tej strzelaniny. Bo zaczęli strzelać właśnie na tą górę. A myśmy musieli tam iść, bo tu nie było już gdzie po prostu uciekać. I cały czas jak myśmy wychodzili pod tą górę tam stały takie sterty zboża. Te snopki tak naustawiane wysoko, takie duże. I myśmy cały czas szli pod górę, a Niemcy tą górę ostrzeliwali armatami. W końcu doszliśmy do takiego dużego jakby stogu. Chociaż stóg to jest mniejszy, a to jeszcze taka duża ilość tego zboża. I ojciec mówi tak, żebyśmy się schowali za to, bo nawet ta armata to nie przebije tego wszystkiego, bo ona się zagmatwa tam w tym. I tak żeśmy siedzieli i te armaty straszliwie tam tym ogniem zionęły na nas. Przeżyliśmy nowy, straszny szok tam. No i rzeczywiście tam, jak już się zeszło za tą górę, to już one nie sięgały. Bo nie mieli widoczności, bo nic nie było widać. Potem wróciliśmy do tej pani Tymoszuk do domu jeszcze. To był jakiś dzień osiemnasty września może. No więc ojciec mówi: „No nie możemy tu być, bo już jest znowu tragedia". Wobec tego, ponieważ był pięć lat we Lwowie, miał bardzo wielu przyjaciół. Mam zdjęcia ojca z tymi przyjaciółmi właśnie z młodości. I ojciec wiedział, kto jak się nazywa w całym

pułku. O kimś opowiada, to wie imię, nazwisko. W każdym razie musimy uciekać za Bug. Bo to były tereny nasze. Za Bugiem. Żeby się schronić tam niedaleko właśnie Lwowa. W każdym razie ojciec powiedział: „Mam tam znajomych, tam jest wojskowość i tam się zatrzymamy”. Ale wróciliśmy jeszcze do pani Tymoszuk, a tam było już kopanie ziemniaków. Wszyscy pomagaliśmy, no bo trzeba zebrać co do jednego, bo nie wiadomo, co nam zagraża. I potem to już wszystko było szybko, bo w końcu siedemnastego przecież już wojska radzieckie weszły na nasze tereny. Ekspres. Przypomniał mi się jeszcze taki fakt. Jak byliśmy w Mogielnicy, to była ze mną jeszcze mamy siostra najmłodsza i mój brat. I ja ich namówiłam, żebyśmy stamtąd poszli do Siedliszcza i że będziemy oglądać oczywiście to wojsko tam, ciekawa byłam tego wszystkiego. Przecież małą dziewczynką byłam, no może nie taką małą, bo miałam czternasty rok. I miałam ze sobą taką lornetkę teatralną. Srebrna, teatralna, elegancka lornetka. I co raz jak leciały samoloty, no to ja patrzyłam, kto to jest. Polskich nie było już, tylko czy niemieckie, czy rosyjskie. No i tak właśnie wpatrujemy się w te samoloty, ja tu mówię tym dzieciom, co tam ja widzę. I nagle dobiega do mnie ruski chłop, taki młody człowiek jeszcze, chłopak i wyrwał mi tą moją lornetkę, i uciekł. Bo szosą myśmy szli, taką ścieżyną, a wojsko szło już tą główną drogą. I on się jakoś oderwał od nich i to mi wyrwał. Przyszłam taka do domu zrozpaczona, bo taka jedna rzecz jeszcze pamiątkowa była. No i straciłam to. Dla mnie to było wtedy bardzo ważne, bo myśmy wszystko zostawili, a to było w naszym posiadaniu i to było bardzo cenne.

9. Pojedziemy do Równego

Szykowaliśmy się do kolejnej wyprawy, byliśmy przerażeni, nie mieliśmy nic ze sobą, co prawda, bo wszystko zostało. No ale lęk przed tym, co nas czeka, był okropny. I ojciec mówi tak: „Słuchajcie, jedziemy…”. A to kawał drogi od tych naszych tragedii lubelskich. „Do Równego pojedziemy. Tam mam kolegę w wojskowości, to tam się zatrzymamy”. Więc pojechaliśmy wobec tego, już nie pamiętam, czy myśmy do Chełma dojechali, w każdym razie w Chełmie wsiedliśmy w pociąg pierwszej klasy, bo taki był tylko. Bo tam nie było wtedy do wyboru, tylko co stanęło, to się jechało. I on jechał właśnie do Równego i to była pierwsza klasa, były bardzo eleganckie wtedy te wagony, bo każdy był w innym kolorze. Były purpurowe takie piękne, były paseczki brązowe i były zielone. W każdym razie wytworne były. Nie marzyliśmy nawet, że takim pojedziemy. Bo to był przypadek. Dość długo się jechało, bo wtedy nie było tak, że godzina musi być ta, którą zapowiedziano, tylko wtedy się dowlecze, kiedy mu się uda. Także jechaliśmy dość długo, nawet były przystanki w ciągu dnia. No bo to wszystko było już po prostu rozregulowane, cała rzeczywistość. Jak wysiadaliśmy, to niektóre były już puste te wagony i dużo tam na tych terenach mieszkało Ukraińców. I oni dopadali do tego pociągu, jak on już zatrzymywał się i obdzierali to wszystko z tych siedzeń, bo to był taki piękny plusz. I z tego wszystkiego obdzierali. Nie wiem, na co im to było. I uciekali z tym do siebie. No to zdobycz taka była wojenna. Tak

marnowali te piękne wagony, że aż serce bolało patrzeć na to. Szybko obdzierali, pociąg ruszał, oni wyskakiwali. I w jednym miejscu obdarli cały czerwony ten plusz, z całego długiego siedzenia. I już nie zdążyli zabrać. Jak dojechaliśmy, to mówię do mamy: „Mamo, zabierzemy to, bo może nam się na coś przydać, bo my nic nie mamy. A to już jest i tak wyrwane". I wzięliśmy to. No i zatrzymaliśmy się w Równym. Równe to było miasto inne niż wszystkie, bo to na wschodzie daleko. Ale została wybudowana nowa szkoła, gimnazjum. Właśnie ostatnio przed wojną skończyli. I ja do tego gimnazjum się zapisałam tam i zaczęłam chodzić. To się nazywało Gimnazjum [im.] Osiedleńców. Bo tam się osiedlali Polacy na tych terenach. I to była szkoła na bardzo wysokim poziomie, wyjątkowi ludzie tam uczyli. Też byliśmy wszyscy zaskoczeni, że na skraju naszego państwa coś takiego się dzieje. No i tam mieścił się też właśnie jakiś pułk wojskowy. I tam znalazł mój ojciec swoich przyjaciół i tam zamieszkaliśmy. Ja chodziłam do szkoły, ojciec, no nie było pracy, ale tam Polacy, którzy zamieszkiwali te tereny, tym tak zwanym *bieżeńcom* [ros. беженец –„uciekinier" przyp. red.], starali się pomóc jakoś. Więc mieli taką kuchnię wojskową i gotowali posiłki dla tych, co uciekali z wojny. No nawet bym powiedziała, że to były luksusowe dania, no nie takie eleganckie, tylko takie smakowite, takie zdrowe. I taka pani, taka blondynka tak w tej akcji działała, wszystkim tam dyrygowała. Bo było tych ludzi sporo przecież. Nie mogę zapomnieć tych przysmaków, jakie tam zjadłam i długo, dopiero chyba po dwóch latach coś zjadłam dobrego. Był już siódmy listopada i zorganizowana była tam defilada z okazji rocznicy rewolucji październikowej. No więc wielki szum był. Wszystkich nas wciągnięto na tą defiladę. *Prikaz* [ros. приказ –„rozkaz" przyp. red.] był taki, no i wszyscy musieliśmy pójść. To był taki bardzo chłodny dzień. Nawet popadał troszkę deszcz. No to smutno było i pochmurno, ale tu były krzyki z tej defilady, słychać było. Przegonili nas tam po tej defiladzie. Wróciliśmy do domu. I po jakimś czasie się zaczęła taka przykra sytuacja, bo zaczęli ludzi wyłapywać nocą i na Syberię wysyłać. Po tym siódmym listopada. To takie miałam urodziny.

10. W drodze do Kijowa. Stacja Szepetówka

Był taki moment, że do tej wojskowości w Równym wtargnęli Rosjanie i zaczęli wszystkich zabierać do pociągu, ale nie pierwszej klasy, tylko do takiego towarowego. Taki zwykły, co się wozi świnie i węgiel. Wszystkich nas tam wepchnęli i jechaliśmy w kierunku Kijowa. To było bardzo smutne, bo byliśmy bez jedzenia, bez ubrania. Zimno coraz większe, przecież jak uciekliśmy z Lublina, był upał. Także było mi tam bardzo zimno i bardzo głodno. Ale nie było dyskusji i nie było nadziei. Jakimś cudem z nami jechały dwie starsze panie, nie wiedzieliśmy, kim one nawet są. Obie jednakowo starsze. Ale potem się dowiedzieliśmy, że jedna z nich to była panią hrabiną, a druga to była jej pomoc. No i tak w tym wagonie było trochę słomy, ale niewiele tej słomy, to się spało i siedziało. I wlokło się to bardzo wolno, bo te przystanki były nawet czasem tygodniowe. Może nie cały tydzień, ale parodniowe

były. I się stało i nic. Przeżyliśmy niesamowity szok. I zaczęliśmy się domyślać, że nas wiozą jeszcze na zimniejsze tereny. Tak mi się wydaje, ja nie mogłam tego wiedzieć, bo to mogły wiedzieć osoby starsze tylko. Do mnie to nie docierało. Ale moi rodzice też chyba nie wiedzieli, bo nie wszyscy wiedzieli. Ale dzięki tej pani hrabinie żeśmy ocaleli na tyle, że ona tym *krasnoarmiejcom* [ros. красноармеец –„czerwonoarmista" przyp. red.] dała taki mieszek złota z czegoś, bo miała jakieś cenne rzeczy. Musiała im coś dać, bo dwa wagony ostatnie tam odłączyli w Kijowie. I myśmy zostali w Kijowie. No, to było dla nas też zaskakujące, bo ani pieniędzy, ani nic. Nikt się nami nie opiekował. Ciężka dola była, ale ja pamiętam, poszłam na dworzec, tam na dworcu była jakaś restauracja, weszłam tam i zrobiło mi się bardzo przykro, bo zobaczyłam tak: biedni ludzie siedzieli na podłodze, na wodzie prawie tam na tym dworcu kolejowym. A inni siedzieli w takich kożuchach, futrach w restauracji i jakieś przysmaki jedli. A ja byłam głodna i wszyscy byli głodni. Naprawdę, jak myśmy w końcu dotrwali, to nie wiem, ale to było straszne. I pamiętam właśnie, że ta pani hrabina również z nami była. Właściwie nie dojechaliśmy do samego Kijowa, to była Szepetówka, to była taka stacja graniczna. No i tam ogromnie dużo tych tak zwanych *bieżeńców* [ros. Беженец –„uchodźca", przyp. red.] się nazbierało, bo wszyscy uciekali, nie wiadomo, gdzie lepiej, ale uciekać trzeba było. Bo nie było sposób wytrwać tego wszystkiego. I to była taka średnia stacja, nie taka maleńka, ale i nie taka warszawska. Także nie było dużo miejsca. A sala główna to była tak zatłoczona, że dosłownie już nie można było nawet wejść. Było tam mnóstwo tych bagaży, tych dzieci. Załatwiały się na miejscu. Także było tak prawie po kostki wody, bo był śnieg, zimno i ludzie się tam garnęli. To była makabryczna sytuacja dla nas. Ponieważ moi rodzice też nie mogli tego wytrzymać tam, to się usadowili w przedsionku tej sali. Taki mały przedsionek był i przejście do tej sali z dworu. Ciągle się otwierały drzwi, to jeszcze to pomieszczenie było nasycone dobrym powietrzem, świeżym, z dworu. A ja, jako że jestem wrażliwa na te wszystkie duszności i zapachy, to nie mogłam nawet z tyłu siedzieć. Moi rodzice siedzieli, drzemali zmęczeni, wykończeni. A mój brat nie miał gdzie siąść, to stojąc, spał. Cztery lata młodszy był ode mnie. Ja przychodzę, tak zaglądałam ciągle, a on stoi i śpi. Jeszcze takiej pozycji nie widziałam nigdy u nikogo. Ale tak był zmuszony do wypoczynku, bo nie mieliśmy gdzie usnąć nawet. Najgorsze było to, że był wtedy silny mróz, ponad dwadzieścia stopni. Miałam na sobie to, co zdobyłam, co zapamiętałam wziąć. I całą noc przed budynkiem tej stacji kolejowej przechodziłam. Jakbym siadła, to bym zamarzła. *Krasnoarmiejec* z karabinem chodził w jedną stronę, a ja w drugą. On pilnował, a ja musiałam chodzić, bo bym zamarzła. Bo już tam nie mogłam wejść, po prostu nie mogłam. I tę noc to na całe życie zapamiętałam. Cały czas obok te szyny kolejowe, ten pociąg tam stał gdzieś z boku, a ten *krasnoarmiejec* pilnował tak na warcie. Też młody chłopak był. A ja zacięcie chodziłam całą noc. To było straszne. No i właśnie już jesteśmy na trasie, dojeżdżaliśmy do Kijowa. I potem ktoś tam z tych naszych wyszperał kogoś z władz, komuś powiedział, ktoś się zainteresował. Siedzieliśmy na

tym dworcu chyba ze dwa czy trzy dni. I w końcu nam zaproponowano, że jedziemy teraz już nie na Syberię, tylko do Winnicy, tak zwana *Winnickaja obłast* [ros. Винницкая область –„obwód winnicki" przyp. red.]. I do tej *obłasti* nas zawieziono. To nie tylko nas, tylko te dwa odczepione wagony. Te dwa wagony ludzi. I pociągiem nas tam wieźli.

11. Znowu coś nowego, czyli *Winnickaja obłast*

Dziwny świat był dla nas w obwodzie winnickim, oczywiście znowu coś nowego, bo myśmy żyli w takim europejskim świecie, bardzo duża różnica zachowania i w ogóle życia tych ludzi. Byłam zaskoczona. No i właśnie jak tam przyjechaliśmy, to powiedzieli, żebyśmy sobie znaleźli mieszkanie. I dali nam propozycje: tu, tu, tu. Która nam będzie odpowiadać. Nawet tak było dobrze. I chodziliśmy, oglądamy jedno mieszkanie, one były budowane z gliny i z nawozu końskiego. A potem to wszystko malowano na biało i był dom. I w tym domu połowę pokoju zajmował piec. Olbrzymi piec. I w tym piecu się gotowało i piekło, a na górze tego pieca spało się. To z ojcem chodziliśmy, bo mama już była tak wykończona, że tylko siedziała i nie wiedziała już co ma robić ze sobą. I z bratem była. A myśmy z ojcem działali dalej. No więc nam to nie odpowiadało, oni mówią: „Tutaj *budiet wam haraszo, tiopło*, piec" [ros. будет вам хорошо –„będzie wam dobrze", тепло –„ciepło", przyp. red.]. Zachwyceni byli tym, że wybielone były podłogi i ściany. Ale nam to nie odpowiadało. No to jeszcze taki stał domek drewniany, tak troszkę dalej od tych innych domków. I tam oglądamy, no pusty, bardzo skromny. No jakoś tak za daleko od ludzi, my jesteśmy sami, nie wiemy nic. I też nam to nie odpowiadało. Ale idzie taka starowina i mówi do mnie tak: „*Tuda nielzja. Bo kak była golodowka u nas, to wsiech* zmarłych tam składali" [ros. туда нельзя –„tam nie wolno" как была голодовка у нас, то всех –„jak był u nas głód, to wszystkich", przyp. red.]. No to już wiedziałam, o co chodzi. Bo tam tysiące ludzi umierało z głodu przed nami. I tam składali tych ludzi. No więc zrezygnowaliśmy rzeczywiście stamtąd. A potem zaprowadzili nas do takiego większego trochę domu, taki bardziej porządny dom. I tam mieszkali właściciele i był jeden pokój wolny po drugiej stronie. Pusty stał. Czy oni wymusili na nich, żeby tam załatwili dla nas, to nie wiem, możliwe. Bo tam z nimi były dwie rodziny. To pewnie był *prikaz*, żeby dać jeden pokój. No i tam uplasowaliśmy się. To już taki normalny dom był drewniany, nie taki jak te wszystkie inne. Zamieszkaliśmy. Zaraz ojcu pracę znaleźli w jakimś zakładzie. Ja poszłam do szkoły do dziesięciolatki. Takie były tam. I brat poszedł do szkoły. Mama została w domu. Na razie nie miała ani pieniędzy, ani co ugotować. No była niesamowita sytuacja. To były takie męki, że jak teraz sobie przypomnę, to nie wiem, jak myśmy to znieśli wszystko. To był jeszcze [19]39 rok, zaczął się grudzień. Bo te wędrówki trwały tygodniami.

12. Szkoła w obwodzie winnickim

Poszłam do szkoły, przyszłam do klasy. Ja po klasie pani Arciszowej, wytworne

dywany miękkie, purpurowe, warunki, panienki, proszę bardzo. A tu coś nowego. Wprawdzie nie miałam wielu rzeczy ze sobą, ale ponieważ zbliżał się rok szkolny, mama mi kupiła nową teczkę, bo się wtedy z teczką chodziło. Ze skóry miałam elegancką teczkę. I te wszystkie przybory mi mama kupiła i ja z tym jechałam, bo to dla mnie było najważniejsze. I tam miałam takie notesiki, to miałam kupione, to z jakiejś okazji dostałam wieczne pióro złote. Także miałam takie jeszcze autentyczne, dobre rzeczy. I miałam jeszcze sukienkę, którą mi mama uszyła, jak będzie jakaś uroczystość w szkole, to mogłam się ubrać w taką sukienkę. Granatowa, bardzo ładnie była uszyta, z pięknej wełny. A z gipiury były takie kołnierzyki i mankieciki koloru morelowego do granatu. Bardzo pięknie to wyglądało. No i w szkole to było dla mnie trudne, bo tak: nie znałam języka, nie miałam zeszytów. Inni też nie mieli, ale sobie radzili, bo mieli tą gazetę, „Prawda" chyba. Była ogromna, nie taka zwyczajna, jak my mamy, tylko to była taka ogromniasta. I te dzieci nie miały zeszytów autentycznie. I pisały piórem takim przyczepionym do patyka, drutem albo nitkami, maczanymi w kałamarzu. I pisały na tej gazecie lekcję. No a dla mnie to było niesamowite, bo nie znałam języka i nigdy nie pisałam na gazecie. I nie mogłam sobie z tym poradzić po prostu, nie nadążałam. Trudne to było dla mnie. Tematy były zupełnie inne, inna historia, inne pismo. To było dla mnie makabryczne wszystko. Za dużo, nie mogłam sobie poradzić i nie miałam na to czasu, żeby się tego nauczyć. Musiałam w to wejść i natychmiast już pytano mnie, a ja niewiele wiedziałam. Wszystko trzeba było samemu działać, tak, żeby coś skorzystać. No i był tam właśnie jeden ciekawy profesor, który mnie uczył angielskiego. A ja uczyłam się u pani Arciszowej francuskiego. I znowu angielski dla mnie, no ciężka dola była moja. I ten profesor zupełnie inaczej wyglądał niż oni wszyscy. Ubrany był skromnie, ale jego twarz była pełna szlachetności, elegancji. Ja nie mogłam zrozumieć, skąd on się tam wziął. A nazywał się Kaban. A słowo kaban znaczy świnia. I ja nie mogłam tego też strawić. A oni to normalnie wszystko traktowali, dla nich nic nie było dziwne. Od dawna był ten Kaban i koniec. Wygląd jego nie pasował do tej reszty, ale nazwisko nie wiem, skąd mu wyrosło. I ten pan podobał mi się bardzo. Zaskoczona byłam nim na tle tej reszty. To był jakiś wyjątkowy człowiek. Skąd on się tam wziął, to nie wiem. No i ja też mówiłam, że ja się uczyłam francuskiego i „*Je ne pas*" – mówię. Nie *english*. Wszystko było dla mnie trudne, nowe, zaskakujące, trudne do przeżycia właściwie. To była jakaś bohaterskość ciała i duszy. I tak to trwało. Dzieci były ogromnie mną zainteresowane, bo to z innego państwa koleżanka przyjechała. I zawsze tak były bardzo dla mnie miłe, bardzo grzeczne i takie delikatne. No i zawsze pytały, czy ja czegoś nie potrzebuję. Ja dużo potrzebowałam, ale one nie miały nic z tego. A potem zaczęły mnie zapraszać do swoich domów. A ja chodziłam. No więc te domy były, jak opowiadałam, takimi lepiankami. Rodzice kolegów byli zaskoczeni, że ja ich odwiedzam, taka z obcej krainy dziewczyna. Zadawali mi różne pytania. Nie mieli mnie czym poczęstować, ale zawsze poczęstowali tym, co mieli. Przeważnie były to kiszone jabłka, kiszone ogórki i kiszone pomidory. Ani jednego, ani drugiego

nigdy nie jadłam, bo u nas się nie je kiszonych jabłek. Tam to było. I uważam, że to dla nich była wielka dobroć. Oni nie mieli może nawet takiej świadomości, ale to były warzywa, które były cenne dla nich. Poza tym jabłko kiszone to tak jak ocet jabłkowy, lecznicze. Ogórek też ich pobudzał do jedzenia, apetytu. I ten pomidor zaopatrywał ich w potas. Ja wtedy też tego nie wiedziałam, dopiero tak potem sobie to wykombinowałam, że to nie było takie złe w ich sytuacji. Nosili za to pełne kieszenie ziaren ze słonecznika i z dyni. I oni wszędzie, no w szkole na lekcji tego nie jadły, ale na przerwie już tak. Rzucał, olololo w buzi i już splunął. I ja tak nie potrafiłam, jak one to robiły. Ale to było dla nich zbawienne, bo cenne dla organizmu przy tej strasznej biedzie. Bo tam mieli wyliczone kromeczki chleba. Nam się też potem to należało, więc kupowaliśmy po kromce dla każdego, kawałek chleba tylko, na cały dzień. Mamie udało się kupić kilogram kaszy jaglanej, której ja nie znoszę. A mama nie mogła więcej, tylko najwyżej dwie łyżki ugotować, bo to musiało na dłużej wystarczyć. Więc przeżyliśmy piekło właściwie. No ale poodwiedzałam domy tych moich koleżanek. One były szczęśliwe, bardzo mnie polubiły. No więc ja im pokazywałam wieczne pióro. Ja mówię: „U nas to nie takie, to takie mam". Miałam takie notesiki eleganckie, kolorowe. „Oj to tak, ojej, jakie *krasiwe*!" [ros. красивый –„piękny", przyp. red.]. No wszystko ich zachwycało, co ja miałam.

13. Święta w Winnicy

Zbliżała się już *jołka*, czyli choinka. No więc zebrali nas wszystkich w takiej małej sali i powiedzieli, że: „Za chwilę przyleci tutaj samolotem Stalin, *batko* Stalin". *Batko* – dziadek dla nich. „I da wam *harosze* jakieś tam prezenty". No i siedzimy, zgasili światło, już wszyscy siedzą po ciemku. A ja się ubrałam, bo wiedziałam, że ta *jołka*, w tą sukieneczkę elegancką. A one nie, one były w tych kubrakach, w czapkach. Nie zdejmują czapek. Te sznurki im wiecznie wisiały. To był ich styl, ich moda. A ja byłam zupełnie inna. No mama mnie ubrała, tak jak należy zawsze. Przychodzę, wszystkie dzieci się zbiegły do mnie i dotykały, i macały. „*Krasiwe*! Ach! *Krasiwe*!". Taka się dumna czułam wtedy. No ale siedzimy, ciemno, dzieci już tak czekały z niecierpliwością, z nogi na nogę przedeptywały. No i w końcu otwierają się z trzaskiem drzwi i ktoś wrzuca dwa takie opakowania na podłogę. Okazało się, że to były *konfiety*, cukierki. I te torby pękły, bo to z papieru były. Rozsypały się i dzieci się rzuciły na te cukierki. A ja stanęłam jak Napoleon pod Moskwą i tak stałam dumna. No bo mnie nie uchodziło się tak tłoczyć, za tym cukierkiem? No one zbierają, zbierają. Przybiegły do mnie: „*Pocziemu* ty nie? *Pażałusta*" [ros. Почему –„dlaczego" пожалуйста –„proszę", przyp. red.]. „*Harosze, harosze konfiety*". No ja się trochę nauczyłam tego ruskiego potem, mówię: „*Spasiba*" [ros. Спасибо –„dziękuję", przyp. red.]. One pobiegły, naskładały na sukienki i przyniosły mi. A ja tak stałam pełna dumy, twarda. I tak się zakończyła *jołka*. W związku z tym, że to były święta po naszemu Bożego Narodzenia, u nich *jołka* i mieszkaliśmy w tym domu, zaprzyjaźniliśmy się z tymi gospodarzami. Bardzo przyjemna i sympatyczna rodzina

była, dwie rodziny właściwie. Tylko jedna pani była bez męża i miała syna, Hleb się nazywał. On był troszkę starszy ode mnie, ale niedużo, coś z pół roku chyba czy rok. Taki chłopiec. A druga też miała syna i też w tym wieku. Te dwie rodziny były spokrewnione, to był brat z siostrą, tylko siostra miała nazwisko ukraińskie, bo wyszła za Ukraińca. A on miał polskie nazwisko. No i właśnie zaprosili nas na Wigilię. Ta Wigilia to była taka typowo rosyjska. Więc była kutia. Tego wcale nie mogłam jeść, chociaż głodna byłam. Bo mi nie smakowało po prostu. No i te jabłka, jakieś tam te pomidory, jabłka były i ogórki kiszone. No i kutia. I coś tam jeszcze było, ale bardzo skromnego. Czyli oni tak samo żyli bardzo, bardzo skromnie. No ale wszyscy się cieszyli, że to, co mają, to jeszcze dobrze, że chociaż to mają. No i właśnie zaczyna się to święto. I niesamowity moment nastąpił. Myśmy się bardzo szybko z nimi zaprzyjaźnili, bardzo nam odpowiadały ich spotkania, rozmowy. I jakoś tak bardzo ciągnęło nas do nich, a ich do nas. No i właśnie siedzimy przy tej kutii, u nich w pokoju, nagle ten pan, co właśnie był ojcem tego jednego chłopaka i był z żoną, zaczął mówić: „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto…” i tak dalej. Myśmy zdrętwieli, bo on nie mówił, kim on jest. Nic. Bo to było wszystko tajne. Tam się nie mówiło. Jeden drugiego się bardzo bał. Tam nie było szczerości żadnej. Ale ponieważ wiedział, że my tu nie mamy kontaktów z nikim, no to ujawnił swoją rzeczywistość. I powiedział nam, że oni mieli dużą ilość ziemi, byli bogatymi ludźmi, że wszystko zostało im zabrane, że tylko zdołali kupić sobie tą chatę. No i że tam gdzieś jakieś mieli cenności swoje, futra i tak dalej. To gdzieś są u jakiejś staruszki zakopane, tam gdzie krowa stała, pod tym żłobem, co z niego jadła. To nawet taką rzecz nam powiedzieli. Ci dwaj chłopcy byli bardzo tacy kulturalni, bardzo skromni. No i właśnie tyle się dowiedzieliśmy o nich. Oni bardzo szczerzy byli dla nas. No i już przynajmniej mieliśmy właściwie takich przyjaciół.

14. Ona za dużo gada

Miałam jeszcze trochę porządnych rzeczy i winnickie dzieci oglądały te moje rzeczy, a dotykały i pytały ciągle. No ja im tam opowiadałam, że miałam takie zeszyty piękne, pisałam. A tu nie mogę pisać na tej gazecie. No i te moje uwagi nie uszły niczyjej uwadze też, bo ci rodzice niektórzy, jako pewnie wysoko partyjni, przekazywali właściwym osobom. Że to tak być nie może, bo ich dzieci nie mogą tego słuchać, że tam na Zachodzie lepiej, a tu nie. Bo u nich wszystko *haroszo* było, musiało być. A akurat przed samą wojną, bo to wtedy zaczynał się wrzesień, a mama w sierpniu kupowała materiały dla siebie na palto, na kostiumy, na suknie. I ojcu kupiła na trzy garnitury. To był beżowy, był szary i był ciemniejszy jeszcze taki. Ale to były piękne, bielskie materiały. I właśnie nic nie wzięliśmy na tę drogę, tylko te materiały. No i brat miał kożuszek i ja miałam kożuszek. Tak że jeszcze jakoś tam byliśmy. No i jak już tak wszystkich odwiedzałam, zaprosili mnie jeszcze inni, jakaś władza. Tam już dostałam *czaj* i dostałam jeszcze konfitury z wiśni. To był przysmak i rarytas. I chyba kawałek chleba było, ale nie mogę sobie przypomnieć, bo gdzieś ten chleb jadłam,

tylko nie wiem, czy u nich. A to był z NKWD człowiek. I on zaprosił mnie, żeby wysłuchać, co ja tu mówię. To była kontrola taka. I była jego żona, mieli dziecko. Schludnie było w tym pokoju. No i już był *czaj* i była ta konfitura. Poczęstowali mnie tym i pytali się, co ja mogę im powiedzieć. No ja mówię: „Że tęsknię za domem, bo każdy lubi, kocha swój dom". „A tu dla nas jest ciężko". Powiedziałam, tak jak czułam. Ale wiedziałam, że coś się dzieje. I któregoś dnia towarzysz dyrektor ze szkoły przyszedł do moich rodziców i powiedział tak: „Słuchajcie, ona za dużo gada". „Jak będzie tak gadała, to pojedziecie, tak jak wam się należało, na Syberię. Powiedzcie, żeby ona nic nie gadała". I przy okazji od ojca kupił dwa materiały. I zaczęliśmy mieć pieniądze. I mój ojciec poszedł na rynek, taki jarmark był i kupił świniaka, ale ten świniak był taki jak pies. Chudy, cienki, no taki wielkości psa. Ale to już dla nas było szczęście, bo wreszcie coś było do zjedzenia. Potem nam się trochę poprawiło, bo załatwili nam możliwość jedzenia w cukrowni obiadów. Tych, które były dla robotników. Dostaliśmy taką nadzieję na przetrwanie. No i te obiady były skromne, ale zdrowe. Przeważnie była kasza gryczana. I to nas uratowało. Ratunek to był najlepszy z tych obiadów w cukrowni. No bo już coś człowiek zjadł. To było proste jedzenie, ale byliśmy u szczytu szczęścia, bo świeże, ciepłe. I kasza zawsze się przydaje człowiekowi. No i wszystko tak właśnie trwało. Mój ojciec pracował w takim samochodowym zakładzie. To były traktory i takie inne. Tam go zatrudnili.

15. Powrót do Lublina

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że jest dla wszystkich, którzy uciekli w czasie wojny, możliwość wyjazdu do domu. Bardzo się ucieszyliśmy, ale myśmy byli tutaj przecież aż koło Kijowa, a trzeba było przejechać do granicy. Więc tę przestrzeń pokonywaliśmy różnymi lokomocjami, czym się dało. Spakowaliśmy się stamtąd i wyjechaliśmy. I mieliśmy dotrzeć do Włodzimierza, dlatego że tam było przejście przez granicę do Polski. Dotarliśmy po wielkich tarapatach. Mojemu ojcu w drodze groziła śmierć. Bo ktoś tam wymyślił, że mój ojciec musi mieć duży skarb ze sobą. I taka była nagonka na ojca, że on to ma i chcieli go zabić po prostu. I ktoś tam podsłuchał i nam to powiedział. No bo to dużo ludzi jechało. No i bardzo ojciec wtedy uważał i starał się, żeby to jakoś przetrwać do końca. I dojechaliśmy do tego Włodzimierza. Zobaczyliśmy niesamowitą rzecz, długi stół, przy którym siedzieli Rosjanie, a drugi stół długi – Niemcy. I stanęliśmy wszyscy tak na środku między nimi. To znaczy przeszliśmy przez tę granicę, dokumenty załatwione były z Rosjanami i stanęliśmy tu na środku. I teraz zastanawialiśmy się, co robić. I tu zostać nie można, a tu strach bierze. To był dla nas moment niesamowitej męki. Przeżyliśmy to wszyscy bardzo. Jak podejść teraz do Niemców, żeby nas przyjęli tam do naszego kraju. A wie Pani, ich wygląd, ich zachowanie, tupet i nawet szwargot germański, wszystko to przerażało. Bo my tak z rosyjskim, słowiańskim to się już jakoś przyzwyczailiśmy. A tu było niesamowite wrażenie, przeżycie szokujące. No ale chęć powrotu do swojej rodziny była wielka. Bo cała rodzina nasza została w Lublinie, na

Chełmszczyźnie. No i cóż, zostawić ich? I tak bohatersko zdecydowaliśmy, że jedziemy. No więc załatwiliśmy tą całą procedurę i pociągiem nas wieźli do Chełma. To też była ciężka trasa, też z przystankami długimi, też o głodzie i o chłodzie. No i w końcu wysiedliśmy na dworcu kolejowym w Chełmie. Nie wiedzieliśmy, co dalej, nic, tylko wysiedliśmy. I kazano nam iść tą ulicą do końca, mówiono: „Do tamtego domu". Ta ulica to się nazywała przed wojną Józefa Piłsudskiego i teraz tak się nazywa. I ten dom to był nowo wybudowany przed wojną, tuż przed wojną, to była tak zwana Dyrekcja Kolejowa. Bardzo duży, piękny budynek. No i myśmy tam wylądowali. Tam musieliśmy pójść. No i tam nadziewamy się na taką sytuację bardzo niedobrą, bo sami Niemcy, ten krzyk, ten jazgot germański. Poza tym tłumy ludzi, no bo wszyscy chcieli przejść. Umieścili nas w takiej sali. Mają nas tam jakoś dalej dzielić i działać. Nie wiedzieliśmy gdzie, co i jak. Ale tak przechodziliśmy taki pokój, gdzie było kilku lekarzy i jeden z nich był ukraińskim lekarzem. Oni nas badali, bo to z innego państwa przychodziliśmy. Niemcy przyjmują, oni są pedantami, boją się jakiejś zarazy. Więc trzeba było przejść przez taką kąpiel i takie gazowanie ubrania i wszystkiego. Taka była segregacja, że kąpiel, a rzeczy do gazowania. I ten ukraiński lekarz dawał nam pieczątki albo nie dawał. Ja nie dostałam pieczątki i mówię: „A dlaczego ja nie mam, proszę pana, pieczątki?". A on nie wiedział, co miał powiedzieć, mówi: „Daje się tym, którzy wyjeżdżają do Niemiec". Czyli moja mama dostała pieczątkę, a ja nie, bo ja byłam za mała jeszcze, za młoda do pracy w Niemczech. A połowa tych ludzi, co przyjechała, pojechała do Niemiec wtedy. Ale moja mama, nie wiem, skąd jej takie natchnienie przyszło, zemdlała. Ja się przestraszyłam bardzo, a mama to wyreżyserowała. I mamę zabrali do takiego domku obok, szpital taki był. Bo to tłumy ludzi, to szpital, lekarze byli potrzebni. I mamę tam zabrali do tego szpitala, a nas zabrali do tego budynku dużego. Byłyśmy jeszcze z mamą do tej kąpieli, potem mama zemdlała i zabrali mamę do tego szpitala. Ja zostałam sama, bo mężczyźni byli oddzielnie, a kobiety oddzielnie. A ze mną szły te panie dwie starsze, co jechały z nami. Wszyscy na golasa. Bo wszystko trzeba było zdjąć. To było nieludzkie, nie do zniesienia, nie do przeżycia dla wszystkich. Ja to się jeszcze jakoś czułam. Ale te starsze panie, wyjątkowo wiekowe, wyjątkowo źle wyglądały całe już. Ze starości. Ja jakoś się tak nie starzeję, nie wiem, co to jest. Ale to było takie bardzo przykre. I takie upodlenie wielkie jakieś było. I wszyscy musieliśmy to jednak przejść. A mama wtedy właśnie po tym zemdlała. Więc ja siedziałam sama, z ojcem nie wiedziałam, co się dzieje. Poszłam do tego doktora Ukraińca i mówię mu, że: „Mama jest w szpitaliku". Taki szpitalik się nazywał. Bo to nieduży, tylko taki w razie potrzeby. A ja tu jestem sama i ja nie wiem, co ja mam robić. On jakiś był przyjacielski dla nas i właśnie jak ja mówię, że ja jeszcze mam ojca i brata i nie wiem, co się z nimi dzieje, to on mówi tak: „To proszę znaleźć ojca i brata, a ja to resztę załatwię". I nie dostali oni pieczątki. Czyli wracamy do domu. I ja nie miałam pieczątki, tylko mama. No i w końcu, jako że chora, skreślili tą pieczątkę, on to zrobił. No i byliśmy do wyjazdu do domu przeznaczeni. Także to przejście było bardzo trudne, bo nie wiedzieliśmy zupełnie, co

nas czeka, jaka nowa niedola. No i tym razem nam się udało, że cała rodzina wróciła pociągiem do domu. Do Lublina.

16. Aresztowanie ojca

Dojechaliśmy do Lublina i przyszliśmy do swojego mieszkania. Ale mieszkanie nasze już było zajęte. Okazało się, że ci gospodarze, którzy tam mieli ten dom, przyjęli ludzi, którzy uciekli ze Wschodu. Oni mieli masarnię, produkcję wędliny i ten człowiek, co tam do nich się ulokował w tym naszym mieszkaniu, też to samo robił. I zaczęli razem robić ten interes. A myśmy nie mieli dalej mieszkania. Więc ojciec poszedł do tego urzędu mieszkaniowego, żeby nam dali jakieś mieszkanie. A oni się dowiedzieli, gdzie byliśmy, gdzie mieszkaliśmy, bo nas tam znaleźli w dokumentach. I powiedzieli, że musimy wracać do swojego. I rzeczywiście zaczęliśmy tam mieszkać, a oni musieli się wyprowadzić. Ale już połowy rzeczy nie było naszych. I nawet pamiątki takie mieliśmy ciekawe, rzeźbione. Nie było, już nic nie było. Tylko zostały meble. I tam mój ojciec po jakimś czasie znalazł pracę, to już była okupacja. I prawdopodobnie za ten czyn nasz, że myśmy wrócili, prawdopodobnie ci gospodarze oskarżyli ojca do Niemców i ojciec został aresztowany. I był na Zamku bardzo długo. Nie pamiętam już ile, ale chyba z półtora roku. Nie było możliwości odwiedzenia go, bo był na Zamku. Była tylko możliwość kontaktu z tymi pod zegarem. Tam było gestapo. I tam było miejsce tych wszystkich mordów. Więc myśmy bardzo cierpiały z mamą znowu, bo nikt nie pracował, nie było z czego naprawdę przetrwać. Mama nie pracowała. Ja chodziłam do szkoły już, do szkoły handlowej, bo innej nie było wtedy dla nas. Tylko były rzemieślnicze i jeszcze handlowa była tylko. To wyższy poziom był. Więc ja chodziłam do pani Sobolewskiej, do szkoły handlowej. I ta szkoła handlowa mieściła się w pierwszych dniach na Pierwszego Maja. Teraz tam w tym budynku jest bank. No więc po bardzo krótkim czasie Niemcy nas wyrzucili z tej prawdziwej szkoły i dostaliśmy takie pomieszczenie na dole na Placu Bychawskim. Właśnie w tym kierunku, jak się idzie do tej nowej drogi z Placu Bychawskiego, po prawej stronie takie duże kamienice stały i na parterze mieliśmy lekcje. Bardzo przeżywałam tą tragedię ojca, bo to był chyba jeden taki ojciec na całe województwo. Był chyba najlepszym ojcem, najlepszym mężem i najlepszym kolegą dla wszystkich i przyjacielem. I bardzo to przeżywałam, bardzo cierpiałam. No i właśnie chodziłam do tego gestapo. Raz mama, raz ja. No bo nie mogłyśmy sobie poradzić, cierpiałyśmy. Niesamowite historie, no przecież wiemy, co to było. A wtedy na Zamku to była taka sytuacja, że co noc zabierali z tych cel i rozstrzeliwali tam, gdzie jest teraz pamiątka, tam stoi krzyż i pomnik. To jest w wąwozie głębokim za LSM-em. Jak się skręca od politechniki na lewo, ulica taka długa. I tam zaraz jest ten pomnik w tych wąwozach. No to na pamiątkę tyko ten pomnik jest. I tam właśnie rozstrzeliwano tych wszystkich więźniów. Każdej nocy. Drutami kolczastymi wiązano im ręce, tam ich wieźli i tam właśnie kończyli swoje życie. Przeważnie bardzo młodzi ludzie. Mój ojciec siedział na pierwszym oddziale, najbardziej niebezpiecznym. Pierwszy oddział to był najbardziej

groźny. Tam wszystkich likwidowano. Siedział z lekarzami, z profesorami z Warszawy. Dużo nazwisk, ojciec bardzo często wspominał ich. I z chwilą, kiedy chodziłam do tego gestapo, to po prostu to było dla mnie przejście tragiczne, bo wchodząc do tego budynku, słyszałam zawsze straszne krzyki i płacze. Bo to był parter, a na dole po schodach byli tam więźniowie trzymani. I oni tam katorgi różne im tworzyli. Ale była możliwość chodzenia do tego gestapo i w tej możliwości była nadzieja jakaś. Bo gdybym nie poszła, to bym zignorowała, jakby mnie to nie interesowało. A ja bardzo kochałam swojego ojca. On zasługiwał na to. Za każdy jego czyn, za każdy pomysł, za wszystko. Teraz już nie spotyka się takich ludzi. Cała rodzina taka była.

17. Pomoc rodziny w czasie aresztu ojca

W tym okresie bardzo dużo ludzi było aresztowanych. Zawinili, nie zawinili, no ale byli, bo ktoś kogoś oskarżył, no i już się zaczynała akcja taka. Właśnie w tym więzieniu wtedy były już same takie osoby wartościowe: znani lekarze, technicy, urzędnicy wysoko postawieni. Bardzo dużo lekarzy było właśnie. W ogóle ta elita polska była wyłapywana, żeby mieć spokój święty z nami. Żeby było łatwiej dalej działać i poszerzać swoje horyzonty. I właśnie wtedy, kiedy ojciec był w tym więzieniu, to myśmy z mamą ogromnie przeżywały. Nie miałyśmy z czego żyć, ale właśnie wtedy odezwała się nasza rodzina z Chojna. I stryjek ten, koło którego był ten lej po bombie, przyjechał do nas z podarunkami. Bo myśmy nie miały nic. Wróciłyśmy z dalekiego świata. Tutaj okupacja, ojca nie ma, no sama tragedia. Stryjek przyjechał stamtąd koniem z wozem i przywiózł nam nawet torf, żeby było czym palić, bo nic nie było. I cała rodzina się tak złożyła na owoce, na warzywa, na mąkę, no dosłownie zaopatrzyli nas wtedy. Gdyby nie rodzina, to nie wiem, co byłoby. Nie mielibyśmy nic. Bo i wszystko z domu zginęło, no właściwie pustka. I na domiar złego ojca aresztowano.

18. Powrót taty

Zaczęłyśmy chodzić do tego gestapo, wstawiać się za ojcem. Pierwsza poszła mama, bardzo to przeżyła, bardzo się zdenerwowała. Nie wiem, co mama tam mówiła, bo myśmy nie rozmawiały już o tym. Tylko takie krótkie komentarze, czy jest nadzieja, czy nie ma. Jak poszłam sama, to już wiem, co mówiłam. I mnie się dużo udało tam załatwić sprawy, tak mi się wydaje. Bo stamtąd właściwie nikt nie wracał z tej jedynki, z tego pierwszego oddziału. A ja przychodziłam i opowiadałam, że jestem zaskoczona, że ktoś musiał być bardzo niedobrym człowiekiem, że oskarżył ojca, który był zawsze wzorem dla ludzi i miał wielu przyjaciół. I właśnie zaprzyjaźnił się z mieszkającym obok niedaleko naszego domu Niemcem, robiliśmy zdjęcia razem i dzieliliśmy się. Ojciec jemu te rzeczy różne wykonywał. A tu nagle jest taka sytuacja dla nas. I właśnie mówię, ci wszyscy przyjaciele bardzo ubolewają nad tym i na pewno by byli zaskoczeni, że taki los go spotkał. Tak zawsze mówiłam i prosiłam,

żeby wzięli pod uwagę, że my naprawdę bardzo cierpimy, że ojca nie ma. A oni mówili ze mną po polsku, bo to byli prawdopodobnie koloniści ci niemieccy, którzy mieszkali tutaj. I oni mnie dlatego zrozumieli, bo ja opowiadałam o tym koloniście niemieckim, który był przyjacielem, wzorem dla innych, bo był pedantem. Zawsze w tym obejściu jego było super. Bo faktycznie tak było, bo to Niemiec, oni tacy są. No i tak chyba mu przemówiłam do sumienia wtedy. Ilekroć przyszłam, to zawsze tam wspominałam kogoś, komu ojciec coś dobrego zrobił i z narażeniem własnego życia. Takie były sytuacje. Tam było tak, że jedne drzwi, potem korytarzem drugie, trzecie, czwarte, a tu było zejście do piwnicy, gdzie krzyk, jęk i płacz okropny. I ja miałam przejść i jeden wysyłał mnie do drugiego. To ja przez pięć pokoi przechodziłam. Nie z jednym. I nie wiem dlaczego i na czym to polegało, do dziś nie wiem. I to samo mówiłam. A ponieważ mówiłam to samo, to u nich się to bardzo liczyło, bo jak ktoś raz mówił tak, a raz inaczej, to już mówi kłamstwo jakieś, kombinuje. A ja ciągle to samo powtarzałam. I pytam jednego: „Kiedy wróci mój ojciec?”. A on mówi: „Za jakieś dwa tygodnie”. Przychodziłam po raz drugi, a ubrana zawsze byłam w taki płaszcz biały, bo wtedy się nosiło takie płaszcze. Tak zwane prochwce. Taki kremowy i berecik miałam biały. I trochę im przypominałam Niemkę, bo one się tak stroiły. I tak z tej rozmowy wynikało, że on coś tam bierze pod uwagę, obiecuje. Ale ta obiecanka trwała przez wiele miesięcy. Efekt był żaden. Albo nie mieli możliwości, albo nie mieli władzy nad tym, tylko ktoś inny mógł mieć. W każdym razie to długo trwało, ja już im po prostu przestałam wierzyć. I zaczęłam mówić, że oczekiwałam przez te dwa tygodnie, o których mi powiedzieli. I niestety jeszcze nie zdołałam się spotkać z ojcem. Po pewnym czasie siedziałam sama w tym domu, gdzie mieszkaliśmy przy ulicy Leśnej, a mama wyszła z bratem do babci. I wyszli wieczorem później, bo pewnie nie miała czasu mama, bo żeby coś zarobić, to się zatrudniła chyba w zakładzie tytoniowym, taka była fabryka tytoniu. I właśnie siedzę sama cichutko, taka lampka się świeciła przykręcona, żeby oszczędzać naftę, to takie były czasy. Tylko ponuro, ciemno i siedziałam sama i tak rozmyślałam nad tym wszystkim, bo było o czym myśleć. Bo nam też, jak byłam w szkole, ciągle groziło wywiezienie do Niemiec na roboty. I siedzę tak, to była sobota, 7 listopada. I w tym ciemnym, ponurym pokoju siedzę i nagle ktoś puk, puk. Myślę, kto tam idzie, bo kiedyś się nie zamykało drzwi. Drzwi były zawsze otwarte, tylko się pukało. „Proszę”, to się wchodziło albo nie wchodziło się, bo nikt nie prosił. Więc ja byłam zaskoczona, już ósma godzina, ktoś idzie do nas, przecież mama nie będzie pukała. Wstałam z krzesła i biegnę do drzwi. I co się okazuje? Zobaczyłam okropnego człowieka, w jakichś łachmanach, kości i skóra. I w łachmanach. I ja się przestraszyłam, no bo to widok był dla mnie niesamowity. I usłyszałam takie słowa: „Dziecko, nie poznałaś mnie?”. A głos był mojego ojca. Wszystko było inne już, a głos był mojego ojca. Otworzyłam drzwi, ojciec wszedł. Szybko te szmaty okropne zdjął, bo tam w tej sali, gdzie on był, to było około czterdziestu osób. Nie wszyscy mogli się nawet położyć, bo się nie mieścili w tej celi. Więc mycia nie było, wiadro jako toaleta. Takie były warunki. I mój ojciec, nie

wiem, pewnie mu zabrali to ubranie, w którym poszedł. Był w jakichś łachmanach potwornych. Zanim moja mama przyszła, to mój ojciec zdjął wszystko z siebie, umył się i założył szlafrok. A moment, kiedy wchodził ojciec, to była godzina ósma. 7 listopada o godzinie ósmej w 1925 roku ja się urodziłam i to były moje narodziny drugie. Taki zbieg okoliczności. W ten dzień sobota wypadała i w sobotę ojciec przyszedł. W sobotę o godzinie ósmej wieczorem się urodziłam, 7 listopada. Dlatego to było takie wielkie przeżycie. To dla kogoś by nic nie znaczyło, przyszedł tego czy tego, ale dla mnie to było szokujące. Ale wrócił. I potem już jak wrócił, to był wielce przestraszony. Skończyłam wtedy szkołę handlową.

19. Masz misję

W szkole pani Sobolewskiej polonistką była pani Kisielewicz. Miała dwóch braci, którzy pracowali później w województwie. A ona została zastrzelona przez partyzantów. Dlaczego, to ja sama nawet stwierdziłam. Ona mieszkała na [ulicy] Zamojskiej, tam apteka jest zaraz na brzegu, jak się schodzi z [ulicy] Bernardyńskiej. I taki dom, wchodzi się w bramę i tam stał taki dom. I ona w tym domku mieszkała z mamą. I kiedyś przychodzę, ponieważ ona coś mi załatwiła, nie pamiętam co. Mój ojciec był wtedy w partyzantce. A ja byłam w szkole, w domu no normalnie. I ojciec, żebyśmy mieli co jeść, to nam co raz przywoził na rowerze, zimą nawet, a to gęś, a to kurczaki, a to takie różne rzeczy ze wsi. No bo trzeba było jakoś wyżywić się. A tam na wsi można było kupić te rzeczy, których tu w Lublinie nie było. I mama mówi tak: „Wiesz co, podziękuj jej" i dała takiego kurczaczka dla tej nauczycielki. I ja poszłam jej zanieść tego kurczaka. Wchodzę, a ona siedzi przy okrągłym stole i dwóch hitlerowców. Ja się tak zdenerwowałam, bo myślałam, że przyszli ją zabrać, a oni widocznie przyszli w gości. I ona zaraz dostała lepsze mieszkanie przed samą rzeką, taki nowy dom był wybudowany i tam dostała nowe mieszkanie. I potem coś widocznie partyzanci wiedzieli, że ona ma jakieś kontakty i została zastrzelona. A jak Niemcy tu się panoszyli, to zastrzelili naszego dyrektora. Już nie mieszkaliśmy na Leśnej, bo już mieliśmy dość tego wszystkiego i znalazł dla nas ojciec skromne takie mieszkanie, bo wtedy nic nie było, na Kamiennej. Ojciec był właśnie wtedy w partyzantce, a ja byłam w dystrykcie. No i mieliśmy takie godziny, że Niemcy mieli porę obiadową od dwunastej do drugiej, a Polacy od pierwszej do drugiej. Krótsza przerwa na obiad. I ja chodziłam na ulicę Zieloną na obiady. Pracowaliśmy do godziny piątej, to była przerwa. Ja tak pędziłam na ten obiad na złamanie karku. Ale razu pewnego mój ojciec przyjechał i mówi tak: „Słuchaj, masz misję do załatwienia". „Jaką?" „A no, pójdziemy na Stare Miasto". Pokazał mi miejsce. W tym najstarszym budynku to było. Po tej stronie, co apteka, tylko następny budynek. To jest najstarszy. Tam był urząd rzemieślniczy. Izba czy jak tam się to nazywało. Ale to dopiero po wyzwoleniu było. A w czasie wojny tam mieszkali po prostu ludzie. I ojciec mnie prowadził, tam takie duże schody są, bo to najstarszy budynek. I pamiętam, że tak w pół wejścia na następne piętro były drzwi na lewo i tam było mieszkanie. I ta osoba,

co tam mieszkała, to skupowała od żołnierzy, nawet niemieckich, i od policji dawnej broń. I właśnie ojciec powiedział: „Jak ta pani powie, że jest, to zabierasz, a ja odbieram”. I tu był wielki problem. Mam zdjęcia torby, w której to nosiłam, na której pisało: „AK”. Bo ja się nazywałam Amelia Krzysiakówna, a to były moje inicjały. I torebkę kupiłam przy ulicy Chopina, taki był sklep duży z torbami, elegancka torba ze skóry. No i, idąc na ten obiad, ciągle pędziłam do tego domu. „Puk, puk”. Ona mówi: „Nie ma”. Wychodziłam. Tak było dużo razy, nic i nic. Ale razu pewnego przychodzę, ona mi podaje coś zapakowane, ja wkładam do tej torby, a to ciężkie było. Idę przez całe miasto, a przy dystrykcie z tej strony i z tej stoi *Schutzpolizei* [niem. „policja prewencyjna”, przyp. red.]. A ja idę z tą bronią w torbie. I przychodzę do tego swojego pokoju, a ten Jasinowski stoi cały czerwony i zaczyna na mnie okropnie po niemiecku drzeć się, ale się drze niesamowicie. „*Warum*?!”, czyli dlaczego ja się spóźniłam. I tak wrzeszczy, a ja to trzymam ciężkie i udaję, że lekkie, bo uświadomiłam sobie, że może wyrwać mi tą torbę. A ja tak tą torebkę, tak jakby lekka była, trzymam i wiem, co się ze mną zaraz by stało, gdyby odkrył, co ja niosę. Wrzeszczał, tupał, walił tak pięścią w stół. Ja byłam już u skraju życia chyba wtedy. Ale on jeszcze raz do mnie podlatuje, mówi: „*Warum*?!”. Chciał, żebym mu powiedziała, dlaczego. A mnie przyszła taka myśl, jak mojej mamie wtedy z omdleniem. Upozorowaniem omdlenia. I mówię: „Oh, *ich bin sehr krank*” [niem. „Jestem bardzo chora”, przyp. red.]. I mówię mu, że mnie bardzo boli żołądek. A on, jakby mu wszystko przeszło, bo na naszym wydziale był Niemiec ciężko chory na żołądek. I to był przyjaciel tego Jasinowskiego. I ten Niemiec to był zupełnie inny niż ci wszyscy Szwabi. Poczciwy, dobrotliwy. Żona też tu mieszkała, przynosiła mu obiady. A on wiedział, że ja jestem tutaj katowana przez Niemców Polka, to mi ukradkiem ciągle podawał coś do zjedzenia. Ten Niemiec to był na pewno w Polsce, miał nazwisko nie Jasinowski, tylko Jasynowski, przez „y”. I właśnie oni bardzo ubolewali nad tym Niemcem. I tak jakby zrozumiał i moją dolę. I przestał wrzeszczeć. Ja siadłam i nie wiedziałam, co z tą torebką zrobić, czy ją trzymać, czy ją położyć. No bo to jest duże ryzyko. I tak przetrwałam do tego momentu, kiedy miałam wyjść i wyszłam do domu.

20. W kajdanach nie pójdę dalej

Był taki moment, że mój ojciec już wiedział, że ja muszę wyjeżdżać z Lublina. Nie mogę tu być. Wiedziałam o tym. Jeszcze wróciłam do tej willi, do dystryktu, i tam w szafie wiedziałam, gdzie co jest. Spakowałam wszystkie mapy sztabowe. Oni mieli dokładne sztabowe mapy, bo to Niemcy, nie znali terenu, a działali na całym województwie. Więc mieli wszystko dokładne, takie szczegółowe, jak nigdy nie widziałam. Ja te sztabówki zapakowałam, ten ciężar zabrałam i uciekłam z Lublina na Pustelnik. Pustelnik był między dwiema wsiami, z jednej strony były Częstoborowice, a z drugiej Żuków. I przy lesie szesnaście tylko domów. I tam uciekłam, i tam siedziałam. Ci gospodarze bardzo mnie polubili, no i tak mnie tam utrzymywali cały czas. Ale i tam nie było spokoju. To znaczy, jak ja jechałam z ojcem z Lublina,

wjeżdżamy już bliżej tego Pustelnika, tak się nazywa ta miejscowość, Pustelnik. I mnie potem partyzanci nazywali „Pustelniczką”. I wyjeżdżamy z lasu i ja patrzę, a tu na koniach Niemcy jadą w kaskach. A mój ojciec siedzi i bardzo się dobrze czuje, opowiada coś mi jeszcze. A ja nie wiem, o co chodzi, czy znieczulica, czy nie widzi, czy co. Jestem przerażona, bo i to mam niebezpieczne, no i uciekłam od Niemców, a tu Niemcy. Ja mówię do tatusia: „Przecież nas otaczają Niemcy”. Ojciec mówi: „Nie, to partyzanci”. Oni byli w mundurach niemieckich przebrani. Odetchnęłam po raz pierwszy. Przyjechałam na ten Pustelnik i już ich znałam, jeszcze wcześniej byłam u tych gospodarzy, bo kiedyś uciekłam też, były te łapanki, to mnie rodzice tam zawieźli. To już miałam utorowaną drogę, to właśnie byłam drugi raz. I to było jeszcze ciekawe, że jak byłam ten pierwszy raz, to miałam też przygodę straszną. Bo siedzimy sobie w ciszy, bo tam była bezwzględna cisza. Las i szesnaście domów. I nagle słyszymy warkot samochodu. To nie był samochód, okazało się, tylko był motor z przyczepą. Niemcy wjechali na tę wieś. I pytają się tam ludzi „Sołtys, sołtys?”. A sołtysa tam nawet nie było, bo to za mała wieś, ale był taki gospodarz jeden właśnie tej pani, co ja u niej byłam, tej babci syn. On pełnił taką funkcję sołtysa. A on bał się ich też i przyprowadził ich do swojej mamy. On takim był zamożniejszym gospodarzem, a babcia, no to jak babcia już mieszkała. A ja mieszkałam u niej. I przyszli do tego domu, siedli przy stole, siedzą, siedzą, coś tam rozmawiają razem. A jeszcze tam dwie córki były. Siedziałyśmy na takiej ławie, jak to na wsi, przestraszone, a oni tam siedzą. I my nie wiemy, o co chodzi. W końcu ten jeden Niemiec przyszedł do tej kuchni tam do nas i tak pokazuje na mnie, zrozumiałam, co on mówi, bo ja się uczyłam niemieckiego przez cztery lata. Żebym im podawała coś do jedzenia. No bo ja taka byłam inna niż one, to jakoś on zdecydował, że ja. No i ta gospodyni się zakrzątnęła, podała im masło, ser, chleb, coś tam jeszcze. Aż strach było im coś dać, bo i to się im nie podobało. A gospodyni chciała ich ugościć, żeby się pozbyć ich. No i ja im donosiłam do tego stołu z takim lękiem, że coś okropnego. Ale nie było rady. No siedzieli, wygadali się, najedli się, śmieli się tam coś bardzo, nie wiem z czego. No i w końcu on mnie woła i wyjmuje pieniądze i chce mi dać, zapłacić. A ja mówię: „*Nein, nicht für mich, bitte*” [niem. „Nie, nie dla mnie, proszę”, przyp. red.]. Że ta pani jest gospodynią. A on mi na siłę daje. Miałam taki fartuszek z kieszonką i on w końcu mi włożył do kieszonki. A ja taka byłam nieprzewidująca, wyciągnęłam i rzuciłam te pieniądze. A on się wtedy wściekł. Jak zaczął stukać tym karabinem w podłogę. A taka nowa, ładna podłoga była. Zmarnował całą podłogę tym karabinem. Takie dziury, takie wnęki były. I wrzeszczał niesamowicie. I podszedł ten drugi do mnie i założył mi kajdany i zabiera mnie. Kobiety, myślałam, że one pomdleją, no nagle ni stąd, ni zowąd. Bo on się obraził na mnie, że ja rzuciłam te pieniądze. On mi daje, a ja rzuciłam. No na pewno to nie było z mojej strony dobre. Ale on tak zareagował. Bo on był *übermensch* [niem. „nadczłowiek”, przyp. red.], a ja byłam niewolnik. I proszę sobie wyobrazić, on mnie ciągnie przez pokój, przez tą kuchnię i weszliśmy do przedsionka takiego. I tam taki bardzo wysoki był próg. A ja

mówię: „*Nein, weiter nicht*” [niem. „Nie, dalej nie”, przyp. red.]. Tak zdecydowanie powiedziałam. A oni ni stąd, ni zowąd zaczęli się obaj bardzo śmiać. Więc ja nie wiedziałam, o co chodzi, dlaczego. A ja ich tak ubawiłam, że ja taka byłam dzielna, że powiedziałam: „W kajdanach nie pójdę dalej”. A ja dlaczego tak powiedziałam? Dlatego, że były takie przypadki tam na wsi, że wyciągali z domu i za stodołą rozstrzeliwali. To ja myślę tak, jak mają mnie zastrzelić, to niech lepiej tu, a nie tam. Ja byłam już taka zdecydowana. I to zrobiłam śmiało i odważnie, bo wiedziałam, że ja nie chcę tam za stodołą być zastrzelona. A ich to ubawiło, ta moja odwaga. Śmieli się, odwiązali mi te kajdany takie, to było straszne wszystko. I powiedzieli tak: „Za dwa tygodnie tu będziemy”. Jakie myśmy mieli te dwa tygodnie. Bo nie wiedzieliśmy już, o co chodzi, może dopiero wtedy rozprawią się ze mną. Nie wiedzieliśmy. Ale jeszcze ja musiałam bardzo uważać w tych moich odruchach niepotrzebnych czasem, bo oni podpalali domy ze złości. No już tam koło nas taki był pan jeden zamożny. I też mu spalili dom. Nie wiem, w jakich okolicznościach to było. Ale wiem, że po prostu wściekali się i podpalali domy. Ja korzystałam z tego dobra ich, one mnie tam przygarnęły w trudnej sytuacji, to nie mogłam ich narażać. I tak przez dwa tygodnie dyskutowałyśmy, czy ja mam uciekać, czy mam zostać. No bo mają być. Ja najchętniej bym uciekła. A one mówią: „No to nam spalą dom”. W wyniku tego pomyślałam sobie: „No to siedzę, nie jadę. Nie uciekam”. Minęły dwa tygodnie, już nigdy nie wrócili. Bo był już wtedy taki trudny okres dla nich, że oni już na tym wschodnim froncie kapitulowali, już się cofali, już mieli problemy.

21. Zbiórka na pomoc dla wojska

Jak pracowałam w tym dystrykcie, to była Niemka, ona się nazywała Elze Farnbach, miała *Lieblinga*, czyli narzeczonego. A to mnie najbardziej denerwowało, bo najbardziej się już jej bałam, bo jej *Liebling* to był właśnie jednym z szefów na Majdanku. I już się wtedy kapitulacja zaczynała, jeszcze jak ja tam byłam. To przyjechał *General Gubernemau*, ten szef cały na teren polski. I on już wiedział, że jest tragedia, więc chodził z czapką po wszystkich biurach niemieckich i zbierał pieniądze na pomoc dla wojska. Taka była sytuacja. Ja siedzę i ona siedzi. Ona wie, że ja jestem Polką, mnie tu być nie wolno, bo tu tylko Niemcy pracują. Ona przy nim nie mogła powiedzieć tego. I ona miała trudną sytuację i ja miałam trudną sytuację, bo ja nie miałam finansów. Był taki moment, że ona nie wiedziała, co ma zrobić, a zawsze była okręcona kocem, bo jakąś miała chorobę, może bóle nóg. I zawsze lustrowała, co ja jem na śniadanie, jaką kanapkę. Jak zobaczyła u mnie kawałek kurczaka, mama dała na kanapkę, to bardzo się dziwiła, skąd ja to mam. Takie były czasy. To tylko ten jeden Niemiec, co był przyjazny. No i ten *General Gubernemau* wchodzi i ona bardzo szybko zorientowała się, co ma robić, wyjęła pieniądze i podaje mu. Mówi: „Ja i za *Kamarad*”, za koleżankę. Dała, musiała dać dwa razy. No, bo nie mogła się przyznać, że to Polka, bo to byłaby wielka afera. Bo tu tylko Niemcy mogli być. No i tym sposobem właśnie wyszłam z tego.

22. Ucieczka z partyzantami

Byłam w tym Pustelniku, tamci Niemcy nie przyjechali, no więc już zostałam. Ale to było takie ciągle niespokojne, bo jak gdzieś tylko jakiś warkot, coś, to już myśleliśmy, że znowu jadą. I wtedy przyszli do nas partyzanci. I ojciec przyszedł do mnie, bo był chyba tam w Częstoborowicach. Częstoborowice, Rybczewice, obok Piask to było. I przyszła partyzantka, to już też było bardzo groźne, bo Niemcy już kapitulowali. Gromadzili się na tych terenach. I zaraz za tym Pustelnikiem była miejscowość, w której dziedzic miał taki punkt mniejszy niż tam, gdzie mieszkał. Ponieważ tego pola on miał dużo, to tam, gdzie on mieszkał, był pałac i to wszystko. A tu jeszcze takie dodatkowe zabudowania były i tam ktoś rządził tym. I akurat jak Niemcy teraz już się gromadzili do akcji nowej, bo tu już się zbliżali do naszych granic przecież. Już ich tam pogromili w Rosji. To był taki moment, że tam zrobili takie miejsce wypoczynku dla wojska niemieckiego. Oni tam siedzieli tydzień czasu, odpoczywali, szykowali się na front. Tak komasowali to wszystko, likwidowali co niepotrzebne. No i szykowali się na front. To dawali im takie chwile wypoczynku. No i oni czasem stamtąd przychodzili na Pustelnik coś dostać, to mleka, no chcieli coś kupić. Normalnie taki żołnierz niemiecki z karabinem szedł przez kawałek lasu na tą wieś, no i te kobieciny im tam coś sprzedawały, to co chcieli. Bo oni tam mieli całą kuchnię, wszystko, ale pewnie nie było za dużo, bo chodzili jeszcze kupować. No i ci partyzanci mieli problem, bo tak blisko, pół kilometra, Niemcy stacjonują. Tutaj już teren jest pusty, nie ma lasu. No więc musimy uciekać jakoś bocznymi tymi terenami. Ja szłam z ojcem, no i ci partyzanci z nami. I musieliśmy tak działać, żeby nas tu nie złapali, bo blisko było, bardzo blisko. Idziemy przez ten las, idziemy i ja zauważyłam, że my błędnie idziemy, bo krążymy, już drugi raz jesteśmy w tym samym miejscu, wyjść nie możemy. Mój ojciec bardzo się dobrze orientował w terenie, bardzo. To zawsze im podobno pomagał. I nagle ojciec stracił orientację i oni też. A ja im mówię, że tu już jesteśmy trzeci raz. A po czym poznałam? Stało drzewo takie charakterystyczne, a pod tym drzewem była wygnieciona trawa, czyli jakieś zwierzę tam było kiedyś. Bo widocznie, wyraźnie taka długa trawa wygnieciona. No i znowu jesteśmy w tym samym miejscu. No i oni w to uwierzyli, że ja dobrze mówię. Jakaś trzeźwa byłam jeszcze, bo oni tacy byli podnieceni. No bo tu Germańcy. Ale dzięki mnie jakoś żeśmy wybrnęli z tego lasu. A tam później znowu była przestrzeń. To była partyzantka „Nerwy", tak się nazywał, „Nerwa". Bardzo dzielny był ten szef cały. Bo drudzy to byli „Spartanie". To oni często tam bywali na Pustelniku. Właśnie oni mnie nazywali tą Pustelniczką. I jednak udało nam się ominąć tych Germańców i wyszliśmy na właściwe tory. W tamtych czasach to się nie chodziło, bo to był strach.

23. Czwórka za 15 groszy

Przed wojną to ja chodziłam wszędzie, bo byłam dzielna, wszystkie kąciki na piechotę obleciałam. Do szkoły chodziłam przed wojną pieszo. Bo była czwórka,

która jechała z Abramowic na Sławinek. No można było się dostać na tą czwórkę z tym, że kosztowało to 15 groszy. A 15 groszy kosztowało pyszne tortowe ciastko. Więc ja myślę sobie, wolę zjeść ciastko. I już, biegiem, biegłam zawsze przez [ulicę] Zamojską, przez [ulicę] Bernardyńską do szkoły na [ulicę] Kapucyńską. A takie pyszne ciastka były na początku [ulicy] Bernardyńskiej, przy samej [ulicy] Zamojskiej. Taki duży był kiosk i tam były przepyszne ciasta. Jakoś nie pamiętam, żebyśmy chodzili do kawiarni, czy wszyscy, czy rodzice tylko. Ojciec pracował nawet w tym NWS-ie, to fabryka samolotów była. No to tam dobrze też zarabiał. Ale potem już nie pracował. Potem w innych jakichś, ale ja już nie pamiętam, jak się nazywały te firmy.

24. Pomoc dla Żydów

Szkoła pani Sobolewskiej była, jak się idzie od [ulicy] Zamojskiej, po lewej stronie mija się kilka tych domów i potem jest taki plac pusty, bo to była szkoła, a w głębi jeszcze była druga szkoła. Teraz jest bank jakiś. Zaraz po wyzwoleniu ja tam chodziłam do pani Krzeczkowskiej. Więc Była szkoła ogólnokształcąca i była też handlowa tam, duża szkoła. I tam się mieściły i handlowa, i pani Krzeczkowska. To była pani profesor chemii. Ona założyła szkołę, liceum ogólnokształcące. Więc koło tej szkoły na [ulicy] 3 Maja, kończyła się szkoła, był płot, a za tą szkołą był skup szmelcu tak zwanego, starego żelastwa. Wyrzucone, niepotrzebne rury, jakieś pręty, jakieś koła, jakieś tryby, o takie rzeczy. I to prowadził właśnie jeden Żyd, nie pamiętam nazwiska. Ojciec to często powtarzał, bo tam do niego chodził, bo ojciec ciągle jakieś maszyny robił i kupował tam taniej części używane i z tego robił nowe. Bo to metal, to się da zrobić. I właśnie tam zaopatrywał się w ten metal. I był taki moment, że to getto założyli. No i pewnego razu do mojego ojca przyszedł ten właściciel, to znaczy on nie przyszedł, bo już jego nie było. Przyszedł jego syn do mojego ojca, znali się przecież bo tam ojciec przychodził. To był młody człowiek, miał siedemnaście lat. I ten właśnie młody człowiek przyszedł do ojca i powiedział, że jego rodzice zostali na Majdanek zabrani, on został sam, czy ojciec nie może mu pomóc jakoś. Bo on wiedział, że to taki poczciwy był człowiek, zawsze wszystkim pomagał. No i zgłosił się do ojca. Ojciec miał duży problem, bo myśmy mieli jeden pokój z trudem zdobyty. Poza tym w domu nie może nigdzie zatrzymać takiego chłopca nawet, bo przecież ludzie mieszkają obok wszędzie, to już było niemożliwe. Ale on znowu przyszedł do ojca. Jakoś tam się utrzymywał, nie wiem jak. I mówił tak: „Może mi pan pomóc jakoś jeszcze się utrzymać przy życiu?”. Ojciec powiedział: „No mogę tylko ci pomóc w ten sposób, że udostępnię ci moją komórkę na dworze”. On się zgodził na to, ale ta komórka była o tyle dobra, że latem to nie przeszkadzało, ale jak się zaczęło zimno, to on by tam zmarzł. A myśmy nie mieli innych możliwości. No w końcu ojciec mu zaproponował piwnicę, on się zgodził. Ta piwnica nasza była ostatnia akurat tu, gdzie już jest ulica. No i on tam przebywał. I proszę sobie wyobrazić, że tam było okienko i on widział, jak ci w pasiakach biedacy kopali te doły. I on to bardzo przeżywał, no bo to młody chłopiec był. A przy tych rowach stało kilku z

karabinami. Ilekroć ja wychodziłam z domu, to chciałam im jakoś pomóc. To kroiłam z chleba ten koniec, zakończenie tej skórki, żeby się nie pobrudził chleb miękki. Bo nie mogłam pakować ani nic. Jak widziałam, że Niemiec odwrócony stoi w inną stronę, to im rzucałam. A jak stał, to nie mogłam, bo zastrzeliłby na miejscu. I tak razu pewnego, no tu mi się udało. Chciałam rzucić, on jakby miał lusterko, tak myślę, ja sobie to wykombinowałam. I momentalnie tak się odwrócił i byłby mnie zobaczył, że rzucam. I potem się bałam już tego. Myślałam, że on ma lusterko, że zobaczył, że ja coś tu manipuluję. No to były czasy w ogóle niesamowite, nie do zniesienia. Wszyscy wiedzieli o tym. Bo to była zagłada wiadoma, wszyscy wiedzieli. Nie było takiego, co by nie wiedział. O Majdanku przecież, zapach palących się włosów i w ogóle. To było nie do zniesienia wytrzymać tam, na tej Dziesiątej to ludzie mieli mękę pańską. Ale u nas już troszkę dalej to samo było. No to były czasy diabła. I w końcu ten ojciec tam mu nosił jedzenie. Chodził sam do komórki i do piwnicy. Mama nigdy nie chodziła. Jakby się mama o tym dowiedziała, to ja nie wiem. Ja się dowiedziałam dopiero, jak już było po wszystkim. I nawet mi ciocia powiedziała, to znaczy siostra mojej mamy. Ojciec chciał tak tego chłopaczynę tam gdzieś uchować. I też mu pomysł wpadł, że zaprowadzi do babci mojej. A babcia mieszkała z tą najmłodszą siostrą mamy, która ode mnie o dwa lata jest młodsza. I on tam był. A to był jeden pokój, bo synów zabrali do Niemiec na roboty. I babcia została sama, tylko z tą młodą dziewczyną, młodszą ode mnie. I one były trochę bezradne i takie trochę niezaradne w ogóle były. A ojciec jeszcze im tego chłopca dał. I on tam został. No babcia co tam gotowała, to mu dała. Ale to była kamienica, tłoczno, ludzi dużo było. I on widocznie się bał bardzo tam być, bo to nie było dobre miejsce i jak ojciec go tam odwiedził, to mu powiedział, że on już nie może tu być. „Nie mogę, bo się bardzo tutaj źle czuję”. No babcia i on, inna rodzina w jednym domu, wcale się mu nie dziwię. I on powiedział tak, że jego rodzice już pewnie są zamordowani na Majdanku, ale on tak kocha rodzinę, że on pójdzie do tej rodziny. Ojciec nie miał rady, on stanął i tak powiedział. No już innych pomysłów nie było przecież na to wszystko. Wszyscy byliśmy przestraszeni i wyszedł od mojej babci, i poszedł, i więcej do ojca nie przychodził. Już nie odwiedzał ojca. Więc nie wiem co zrobił, może mu ktoś inny pomógł. Albo rzeczywiście tak jak powiedział, że on idzie do swoich rodziców. „Bo ja ich kocham i ja idę do nich”. On był na bezdrożu przecież. Sam jeden został, już wszyscy prawie byli wymordowani, to był kataklizm dziejowy. No takie przeżycia mieć. A to się dowiedziałam długo jeszcze po tym wszystkim. Przypadkowo mi powiedziała ta moja młodsza ciocia. Kiedyś mówi: „Wtedy jak twój ojciec przyszedł z tym chłopcem do nas”. I ja sobie to wszystko skojarzyłam i potem się tak etapami dowiadywałam, gdzie, co było, kiedy. Ojciec mi w końcu powiedział, że tak było, ale to niestety ciężka była dola nasza. Nie można było nikomu ufać.

Data i miejsce nagrania	2016-02-01, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"